

85

65

20

170

J. I. KRASZEWSKI.

POMYWACZKA.

Opowiadanie z życia księcia Józefa Poniatowskiego.

Życie w końcu XVIII wieku, szczególnie w kraju naszym, miało barwę, jakiej dziś próżnoby w niem szukać.

Piszą, że około tysięcznego roku ery naszej, spodziewają się końca świata przepowiedzianego, ludzie zupełnie na sprawy jego zobojętnieli. Daje się to czuć w dziejach dziesiątego wieku zawieszeniem wszelkiej działalności; w wieku XVIII przeciwnie ludzie widzą, że ten ich świat się kończy, ale w szalach szukają zapomnienia katastrofy codzien bliższej, widoczniejszej codziennie. W wyższych warstwach społeczności śpieszą używać bez rachuby, rzucając przez okna co się trafi pod ręką... a tej stypie ostatecznej towarzyszy suchy śmiech obłąkanego, który z zaciętością bierze się do niszczenia.

Mniejsza o pozjadane majątności na zbytkach bezmyślnych, o zmarnowane miliony, o rozproszone zapasy wiekowe i opróżnione skarbcce dziadowskie; gorszem jest to niszczenie w sobie charakteru i dostojności lat przeszłych, to dobrowolne zniżanie się i kąpienie w rynsztokach, gdy marmurowe łożnice nie smakują.

Kraj cały wre jakimś szałem niepojętym, kobiety, młodzież i starce zarówno. Wśród tej orgii rzadki głos zwiastuje dni ciężkiej pokuty, ale nikt go nie słucha, pijani śmieją się z niego. W głębi serc naszych znać, że prorokowi wierzą, ale myślą, że gdy fatalnego losu odwrócić nie można, resztki biesiady spożyć przynajmniej potrzeba.

Od peruk i fraków rozpacz bezpamiętna na jutro przechodzi do kontuszów i konfederatek; siwe podgolone czupryny dymią i stolica od nich się pali.

Na dnie tego zamętu są przecie i fusy saskiej epoki, pozostałości, miłostek i bankietów, jest wszczepione bezprawie i pogarda starej obyczajności. Przypatrując się bliżej Stanisławowskim czasom, znajdziesz w nich, jak w za-

kręcie rzeki, która wszystkie śmiecie zbiera w jeden ką, pełno nazmiatanych do kupy brudów odwiecznych, których razem na wierzch wystąpiło co niemiara. Potrzebaby analizy chemicznej, aby ich pochodzenie oznaczyć.

Trucizna, która wyżerała serca i wypróżniała piersi młodych ludzi owego czasu, było zwątpienie i przedwczesne wyżycie się. Z tego to płynęła owa *tężyzna*, to rzucanie się pozornie namiętne, w istocie rozpaczliwe, na niemożliwe wyciśnienie z życia jakiejś upajającej treści. W epokach normalnych, to co żywot dać może, starczy człowiekowi i nasycy go; w podobnych przesileniach ludzie szukają po za krańcami możliwości upojen, dziwnych wzruszeń i rozkoszy. Ztąd idzie miotanie się gorączkowe, które w historii obyczajów zawsze znamionuje chwile ciężkich walk i przejścia.

Orgie XVIII wieku nie czem inne są, tylko takim upędzaniem się za wytworzeniem czegoś nowego, czego życie zwyczajne dać nie może; żądano od napoju, od miłości dziwnych, od uczt sardanapalowskich, by przeistoczyć warunki istnienia, by rozszerzyły granice nieodwołalnie oznaczone człowiekowi... Chleb razowy życia nie starczył ; dowi ogromnemu: wypiekano ciasto z manny, ze spadających z nieba kropelek rzadkich, nawet w nich niedostatku z błota ulicznego.

I kończyło się na tem, że po niestrawnym pokarmie głód był większy jeszcze, choroba srozsza... szła stokroć straszniejszy...

Książę Józef był człowiekiem swojej epoki; wystawiał może dobitniej niż inne indywidualności, jej stronę piękną, szlachetną; zarówno poryw jej ku ideałom i chętki chorobliwe, pragnienia serca i szaty zmysłów rozdrażnionych. Za wczesnie poznawszy wszystko, co życie dać mogło, nie smakował już w niczem, i szukał czegoś więcej, sądząc, że pragnienie nietyle dowodzi *gorączki człowieka*, ile *istnienia napoju*. Napróżno piękne panie owych czasów usiłowały go

stałej przywiązać do siebie; wabiła go wszelka nowość zaglądała w oczy każdej przybywającej, lecz prędko jednostajność wrażeń odpychała go, nudziła forma też sama, w głębi toż samo wrażenie, te same powtarzane codziennie słowa, płochości jednakie... Te setne edycje jednej książki już po okładce mógł poznać i czytać ich nie pragnął. Życie nie umiało mu dać nic nowego... Prostota, serce szczere, świeżość wrażeń byłyby go nawrócić mogły; ale gdzież je spotkać miał, wśród tej sceny pełnej wyuczonych od pieluszek aktorów?

Po tych dniach spędzonych na rozrywkach nierozrywających, na niespodziankach spodziewanych, następowały wieczory do dni podobne, a po powrocie do domu, długie często godziny rozmyślań i apatyj...

Było to jesienią, jednego z lat następujących po sejmie czteroletnim, który nie przerwał życia rozszalałego wielkości. Warszawa wyglądała nadzwyczaj świetnie i niezrozumiale wesoło. Pieniądze zdawały się płynąć rynsztokami, tak je nierozważnie rzucano na wszystkie strony; pracowity świat wielki nie mógł wystarczyć balom, wieczorom, piknikom, redutom, spacerom, kartowym stolikom i rozrywkom, którym napróżno starano się coraz nową nadawać barwę, a były jak piekło jednostajne i nudne. Nowi ludzie bawili się niekiedy kilka tygodni, jak człowiek, który wchodzi w gorącą kąpiel i czuje z razu trochę ciepła, ale po chwili drzeć zaczyna w tym ukropie. Książę Józef, jak wielu jego rówieśników, był niesłychanie smutny; patrząc na tego Apollina w całym blasku męskiej piękności, którego czoło osnuwała mgła jakaś nierozbita, żał serce ścisnął, tak widocznie cierpiał, choć się uśmiechał... Wypełniał on ściśle obowiązki swojego stanu, mozolne, choć pozornie bardzo rozkoszne, a bliżej się weń wpatrując, przychodziło na myśl, że Dante nie wyczerpał wszystkich kar w swoim piekle, nie umieściwszy w niem klamanego szczęścia uwieńczonego laurami i różami, z tajemną raną w piersi zakrwawionej i zazdroszczącymi dokoła.

Tymczasem pół świata zazdrościło mu męczarni, a gdy w swem *whisky*, zaprzężonem ośmiu karemi końmi przelatywał Krakowskie Przedmieście, mając po bokach Wielhorskiego i Kościuszkę, lub na przepysznym karoszu, w twardej od srebrnych haftów kurtce pędził do Mokotowa, na Wole, do Jabłonny, stawali ludzie mówiąc sobie po cichu: „Co to za szczęśliwy człowiek“.

Tego dnia książę Józef nie próżnował od rana. Choć późna była jesień, ale pora, jak to się często w Warszawie trafia, prześliczna; wstawszy więc ruszył na przejażdżkę ku Wilanowu. Po powrocie był u króla na chwilę, odwiedził Ignacego Potockiego, żeby trochę w jego towarzystwie spoważnieć, oglądał potem angielskie konie wystawione na sprzedaż, które młodzi Tepperowie za niezmiernie wysoką kupili cenę. Oddał kilka wizyt pięknym paniom, próżno go uśmiechami zatrzymującym, jadł obiad długi i niesmaczny u Prota Potockiego, nasłuchawszy się do przesytu o projektach przemysłowych i handlowych, potem wbiegł do kilku domów wieczorem, jeździł do teatru, aby się na nim wyziewać dowoli, był na reducie w Radziwiłłowskim pałacu, na proszonej kolacyi kawalerskiej u Branickiego, i znużony powrócił do domu, jak po najmozolniejszym trudzie. Z całego dnia zostało mu wspomnienie nieograniczonej tęsknoty.

Siadł na sofie, jak zwykle, i zamyślił się głęboko...

— Jest to życie niemożliwe! — rzekł nareszcie w duchu: jeszcze rok, a człowiek zgrzybieje i zgłupieje. Wir ten nie daje myśleć, szat ten nie dozwala oprzytomnieć. Stać się pustelnikiem wśród tej ciżby? ogłaszać za szaleńca... uciec? tak! byłby to nie zły środek, ale dokąd?... A! serce! serce — dodał — czemu ty mnie nie poratujesz? czemu ty nie uderzysz tak silnie i głośno, aby ten hałas zagłuszyć?...

Do kogo? spytał się z uśmiechem, — i myśl przebiegła wszystkie piękności dworu i stolicy, szydersko zlizując z nich urok wdzięku. Książę Józef widział je niemal wszystkie tego dnia w łóżach teatru, i do każdej z tych twarzy, co się ku niemu zwracały, pamięć przypięła historję, która

jej urok odejmowała. Ta jest już z dziesiątym ulubieńcem, tamta z trzecim mężem... tamta z piętnastym przyjacielem, nie licząc nieprzyjaciół, których kochała po chrześcijańsku i przez uczucie obowiązku... Z takimi myślami po północy położył się książę Józef, ale nie usnął; rozgorączkowany dniem rozmarzony myślą własną, rzucał się, marzył, aż gdy na dzień się już zbierało, wstał, zadzwonił niespodzianie na kamerdynera, który nieprędko nadszedł dosyć przestraszony, i kazał sobie przygotować ubranie. Francuz był posłuszny, ale widząc, że książę ani wierzchowca, ani powozu nie żąda, niewiedział co myśleć.

Po chwili książę Józef, zostawiając go w tem zdumieniu, ubrany po cywilnemu, wyruszył z pałacu na miasto.

Ranek był rzadkiej piękności, i mgła nawet, która prawie zawsze u nas pogodzie jesiennej towarzyszy, już się gnana wiatrem, rozsiewała; niebo, choć blade, ale czyste, miało ten ton łagodny północy, który się w taką z kolorytem pejzażu zlewa harmonię. Gdzie niegdzie białe bawełniane przelatywały po niem obłoczki, ozłoczone wschodzącym słońcem, które otaczały rumiane pasy dalekich tumanów. W powietrzu była cisza, na ziemi spokój, i ledwie dający się czuć powiew zachodnio-południowy opędał z drzew resztki liści, które się jeszcze po końcach gałęzi trzymały.

W ulicach miasta ujrzał książę to, co na nich rzadko widywał: ludność różną od tej, która we dnie się po nich kręciła, wiejską, przedmieściową, pracowitą, ubogą. Szły z Pragi fury z drzewem, z jarzynami, z zapasami różnemi. Kobiety z ciężarami na plecach, mężczyźni z piłkami i siekierami, po ulicach odzywały się ranne dzwonki mszy cichych, na które cisnęli się wieśniacy. Gdzie niegdzie wśród tego zalewu przybyłej ludności, przepływała i miejscowa uboższa: mieszczanie w kapotach długich z laskami, poważnie kroczący na prymarye, jejmoście staruszki, chcące się tanio zaopatrzyć do domu, przekupnie i przekupki, ostro targujące się o nabycie tego, co wkrótce jak najdrożej sprzedawać mieli, i młodzież płci obu z najbiedniejszej klasy, wybiega-

jąca po zapasy gospodarcze, wodę, mleko, świeżą bułkę do piekarza.

Książę Józef przypatrywał się z ciekawością temu widokowi nowemu dla siebie, który go przyciągał żądzą poznania utajonych sprężyn, poruszających nieznanym światem.

Im głębiej spuszczał się książę ku Pradze, odchodząc od środka stolicy, tem otaczająca go ludność inny przybierała charakter i mniej w niej czuć było miasta. Na ostatek szedł aż do brzegu rzeki, gdzie już prawie było pusto. Uboogie domki rybaków, szychty drzewa, czółna popróchniałe, rozwieszone sieci, chałupki z desek pozbijane, i tuż szeroko rozlana Wisła płowa, spokojna, choć groźna, a na niej w dali parę ciemniejących czółenek.

Tu cisza była uroczysta... książę od dawna takiego nie zakosztował pokoju.

Życie całkiem mu się tu inaczej wydało. Tam z kądem przychodził, było ono teatralnem widowiskiem dramatu, napisanego bez talentu, odegrywanego rutyną, czemś kłamanem i sztucznem; tu widział je prawdziwem, poważnem, wśród nędzy i walki wspaniale, majestatycznie pięknem. Na czołach tych ludzi była troska, ale obok niej siła i wiara w tę siłę człowieka, która tam wyżej czuła się wyczerpaną. Praca uszlachetniała tu ruch każdy... a mimo niej niepewność jutra ożyiała, budziła, nie dawała usnąć gnuśnie.

Gdy książę usiadł na kłodzie nad brzegiem i począł się rozpatrywać w otaczającym go obrazie, z chaty dosyć biednej, nieopodal stojącej, której drzwi się otworzyły powoli, ukazała się postać w bieli.

Była to może piętnastoletnia dziewczeczka, z błęd włosami rozpuszczonemi, bo je właśnie zgarniała i czesała, w koszulce i spódniczce, bosa, szczupła, drobna, ale prześliczna. Małeńka chusteczka okrywała jej ramiona od ranego chłodu, z którym zresztą oswojona widać była, bo się wychyliła za próg, i stała przypatrując się niebu, próbując powietrza...

Nie postrzegła ona księcia, który siedział, osłoniiony

wysoką szczytą drzewa naprzeciw światła, i nic też jej w tej tualecie na podwórzu nie przeszkadzało. Zbierała obfite blond włosy, rozczesywała je, plotła, a niekiedy drobne jej usteczka różowe, z pod których białe patrzyły ząbki, otwierały się poziewaniem, jakby resztki snu odpędzała od siebie. Parę razy zdawała się przysłuchiwać czemuś wewnątrz chaty, i uspokojona powracała do swego stroju. Przy drzwiach stało wiadro z wodą, poczęła się oblewać starannie i wycierać twarz i ręce grubym ręcznikiem. Potem znikła i powróciła znowu z gorsecikiem, który sznurowała powoli. Usta jej w czasie tego zajęcia poruszały się powoli, mówiła pacierz poranny. Niekiedy ręką uderzyła się w piersi, to znowu przyklękła i pochyliła głowę, wreszcie narzuciła na siebie sukienkę pstrą i poczęła ją starannie obciągać,

Wszystko na niej było niezmiernie ubogie, ale bogata była we wdzięk młodości, którego nic zastąpić nie może. Książę wpatrywał się w nią — po twarzach wybielonych, wyróżzowanych, wymuskanych pań stołecznych — jak w kwiatek polny, rozkwitły na ustroniu.

Kwiatek był w istocie uroczy; najwybredniejszy znawca musiałby mu się zdumieć. Piękność rysów nie jest wcale, jak sądzą, wyłącznym udziałem tych klas społeczeństwa, w których pokoleniami wydelikaccona krew wydaje arcydzieła formy, naprzemian z poczwarnymi monstrami. U ludu od kolebki zmęczone dziecię, często traci kształt wdzięczny i barwę młodości, ale jeśli przetrwa pierwsze życia zapasy, często też wyrasta na Wenus z Milo lub Antinousa... I naówczas siła a energia tej piękności przechodzi blade kwiatki arystokratycznych cieplarni. Wychowanie też wpływa wiele na wyrobienie w tych ostatnich czegoś fałszywego, sztucznego, sztywnego, gdy prostota obyczaju uposażowuje ludowe wdzięki. Jest w nich coś jakby z marmuru kutego; arystokratyczne piękności podobniejsze są do figurek z cukru i ciasta.

Dziewczę, któremu książę Józef się przypatrywał się z takim zajęciem, że oczu od niego oderwać nie mógł, nie

było może tak regularnie piękne, ani tak potężnie zbudowane by je rzeźbiarz wybrał za wzór sobie, ale w szczupłych kształtach jego sił dziecinnych, napół kobiecych, rozlany był wdzięk naiwny, nieporównany. Nóżki, ręce, choć silne i spracowane, ale w wiślanej wodzie wypłukane codziennie i białuchne, piersi szczupłe, główka drobna, oczy niebieskie, uszko maleńkie, nosek prosty i nieposzlakowanego kształtu, składały się na obrazek przypominający fantazyje Greuze'a, i niektóre szczęśliwsze pasterstwa Boucher'a.

Była to właśnie chwila, w której pastuszki, lud i wioskowe życie, pojęte po teatralnemu, były w wielkiej modzie u świata... Książę Józef napatrzył się ich na parawanach, wachlarzach, na drzwiach i rycinach, ale mu się nie trafiło nigdy w żywym świecie spotkać wzoru dla Greuze'a... Był nawet przekonany, że Boucher i Watteau, że sam rozelzawiony Greuze są wielkimi kłamcami, że przebierają często wielkie panie za pasterki. Obrazek, który ujrzał tak nagle w ramach drzwi ubogiej chatki, zachwycił go.

Dodajmy, że książę Józef był nieco marzycielem i trochę fatalistą... To wyjście ranne, jakby mimowolne, ta siła, która go tu przyciągnęła, ukazanie się dziewczęcią, poddały mu jakąś myśl przeznaczenia. Wczoraj upominał się u świata i losu o coś, coby mógł ukochać; dziś zjawiała się przed nim istota śliczna, dzika, bo właśnie dzikiej i prostej pragnął... Nie byłóż w tem coś fatalnego? Odezwał się do losu, los mu odpowiadał: „Chciałeś, oto jest“.

Myśl mu poddana wczorajszą tęsknotą, postawiła obok niej to zjawisko niespodziane.

Gdy tak marzył, dziewczę za drzwi znikło, a książę, namyśliwszy się nieco, nie bez pewnej obawy, z której sam się uśmiechał, wstał i powoli skierował się ku ubogiemu domkowi. Powierzchność jego zdradzała stan mieszkańców bardzo biedny; chatka dosyć stara, na małej podniosłości brzegu wybudowana, była szczupła i nadniszczona. Dach na niej cały porastał zielonemi kupkami mchów,

które widocznie rozszerzając się zjadały gonty; komin był wyszczerbiony i okopcony...

Ściany trochę wpadły w ziemię. Jedne drzwi, te właśnie, w których mu się dziewczę ukazało, prowadziły do wnętrza. Książę zawahał się chwilę, nim próg przestąpił, myśląc, czem się wytłómaczy z odwiedzin? ale po krótkiej rozwadze, uległ pokusie.

Sień, do której się wśliznął, była pusta, pełna przyborów rybackich, długich węd, zczerniałych sieci i węcierzy; jedne drzwi wiodły w prawo do mieszkania. Książę Józef zapukał do nich, nie śmiejąc się wpierać do środka bez pozwolenia.

— A no! wejdźcie! — odezwał się głosik ze środka, miły, cieniuchny, dziecinny. — Cóż to wam przyszło do głowy palce sobie obijać o drzwi?

— Ino zobacz, bo może to kto obcy? — przerwał głos drugi starszej kobiety.

W tejże chwili drzwi uchylone roztworzyły się powoli, ale mimo tej ostrożności książę Józef dostał niemi w głowę i uchylić się musiał. Dzieweczka, które je otworzyła, stanęła zdziwiona na widok pięknego nieznanego pana, przypatrującego się jej z równą, jak ona jemu ciekawością. Oboje poczerwienieli. Mniej to dziwne było ze strony dziewczęcia, ale książę, dawno odzwyczajony od palącego rumieńca, uczuł go na twarzy, jakby przynosił mu na nowo stracone lata dzieciństwa. Był to gość niespodziany...

Domyśliła się dziewczeczka, że ten pan przez omyłkę chyba do ubogiej chaty zajrzeć musiał i trzymała drzwi ciągle, nie chcąc go puścić do środka. Przez tę chwilę niemego przypatrywania się, ona miała czas przeczuć w nim jakąś istotę wyższą, on rozplomieniał się, marząc, że trafił na ów ideał prostoty i serca, który dotąd tylko w złych francuskich romansach niedołężnie malowany spotykał...

— Ale czegoż pan chce? — odezwało się dziewczę — bo na matulę ciągnie chłodne powietrze.

— Ja? puście-no mnie, to wam powiem — odparł książę i, uchylając drzwi przytrzymywane, wszedł do izdebki.

Ubóstwo jako zbytek ma pewne rysy ogólne, z któ-

remi się okazuje zawsze trochę jednostajnie; przepych potrafi się łatwiej urozmaicić, choć mu niezawsze udaje się szczęśliwie wyjść z pospolitości, unikając przesady i niesmaku. Nie widzę więc potrzeby malować wam ubogiej chaty, bo z maleńką różnicą, wszystkie one są do siebie podobne; tu fantazyja rozposzążyć się nie może, chyba w drobnych szczegółach.

Wnętrze izby było uderzająco czyste i schludne, i to stanowiło jego całą ozdobę. Na ścianach pełno obrazków świeżych, pookrażanych wiankami i palmami, w okienkach trochę zieloności, stół, szafa wielka, parę ławek, a w kącie szerokie łóże białe, na którym leżała stara, blada i chorobą widocznie wycieńczona kobieta... Na kominku paliło się trochę ognia, przy którym coś w garnuszku gotowała dziewczynka...

Książę, im mocniej się jej przypatrywał, tem więcej czuł, że mu do niej goręcej serce biło... Była prześliczna, a z oczu niebieskich taki wyraz spokoju i niezmiernej łagodności przeziarał, taka płonęła dobroć i słodycz jakaś rozumna!... Po codziennych rewiach salonowych kobiet, wysznurowanych, wypięknionych a nie pięknych, po licach tych malowanych a nieświeżych, wyraz młodości i świeżości uderzał prawdą porywającą... Na księciu uczynił on wrażenie takie, jakiegoby doznał człowiek przywykły patrzeć na obrazki, a nagle stający wobec żywego życia...

Dziewczę niespokojne, wciąż zapierało mu sobą drogę; widocznie chodziło o matkę. Nie czuła ona niebezpieczeństwa własnego; szło jej o staruszkę, która wyglądając ciekawie, pokaszliwała ze strachu...

— Pozwólcie mi wejść i spocząć, rzekł książę jak mógł najłagodniej. Zmęczyłem się przechadzką... proszę was o szklankę wody i pozwolenie posiedzenia na minutkę.

— Julko... Julko! przerwał głos matki: ale puśćcież tego jegomości... cóż tam się tak drożycie?

Książę wszedł powoli i odwrócił się ku łóżku, aby starej podziękować, gdy ta wychyliwszy się lepiej z za firanek, załamała ręce wychudłe i krzyknęła prawie przestraszona:

— Jezu Marya! a to nasz śliczny książę!

Książę Józef aż się cofnął, z kolei przelektły tem, że go poznano; a Julka, ścierając pył fartuszkim ze stołka, przybiegła z nim szybko do gościa, który stał w pośrodku izby zmieszany.

— A cóż to księcia do naszej biedy przypędziło, mój śliczny panie? żywiej niżby się można spodziewać poczęła chora. A mój ty miły Jezu! a toż to cud! Jakimże sposobem?...

— A skądże wy kochana matko mnie znacie? — zapytał książę, odzyskując mowę.

— Albo to was zapomnieć można? — zakrzyknęła stara. Ja służywałam w Jabłonnej i w zamku, a kto księcia raz tylko zobaczył, toć go nie zapomni!

— I cóż tu teraz porabiacie?

— A! mój miły książę! nieszczęście nas tu zepchnęło! Były lepsze czasy... Owidowiawszy po pierwszym swoim mężu, który był nic potem dworak, wyszło się drugi raz za rybaka. Pocziwe człeczysko.., aleć go Bóg długo na świecie nie trzymał, a wziął do swej chwały... Mój Macieisko załamali się z lodem na Wiśle, i aż trzeciego dnia znaleźli jego ciało, żeśmy je po chrześcijańsku pogrzebać mogli.

Stara zaszła się do płaczu.

— Zostało nas po nim sierot dwoje, mój książę; ja i to pocziwe dziecko... a tu choroba na mnie... co mnie jak trupa na nic nieprzydatnego rzuciła na łożę.. gdyby nie pocziwi towarzysze Macieja, rybacy, co nam pomagają, jużby z głodu przyszło umrzeć i to dziecko zostawić na straszliwe sieroctwo. Ale Bóg opiekun...

Książę milczał wciąż zmieszany, oglądając się to na starą, która śpiesznie i coraz żywiej mówiła, to na dziewczkę zaplonioną, dającą znaki matce, aby się nie męczyła zbytecznie rozmową.

— Czy nie słyszeliście, że książę prosili wody! dajcież mu świeżej i weźcie czystą szklanekę białą, moja Julko, a pocałujcie go w rękę i przeproście, żeście go puszczali nie chcieli... Taż to synowiec króla imci i taki dobry pan...

Julka, mocno przejęta nowiną, że to był synowiec

króla i księżę, zakrzętała się około wody, ale jak na złość wszystko jej z rąk padało, wymykało się, paluszki krzęły, i gdy przyszło na talerzyku podać szklankę, to się woda na pół na niego rozlała, tak Julce ręczęta biegały ze wzruszenia.

Księżę siadłszy, rad był jak najdłużej tu pozostać, aby patrzeć na śliczną Julkę; szczęściem nieskończona gawędka staruszki, która na nowo całe mu życie swoje opowiadać zaczęła, przedłużyła odwiedziny, hojnym ukończone podarkiem.

Nazajutrz księżę przywiózł z sobą do chorej doktora Lafontaine'a.

Na wiosnę następnego roku szeptano po Warszawie, od ucha do ucha podając sobie nowinę, obruszając szczególnie kobiety wyższego świata, że księżę Józef, który tak sobie lekko i prawie pogardliwie traktował najcudniejsze piękności Stanisławowskiego dworu, zamiast się zakochać w jednej z najzależniejszych i najpiękniejszych pań, od dawna okazującej dla niego nadzwyczajną passyę, miał jakąś miłość pokątną, ukrytą, poniżającą go dla jakiegoś ubogiego, nieznanego dziewczęcia.

Gniew wielkiego świata był potężny. Księżę spotykał rozplomienione lica, uszczypliwe przymówki, alluzye bolesne, ale przyjmował je z obojętnością szczęśliwego człowieka, z uśmiechem prawie wzgardliwym, nic sobie z nich nie czyniąc. Wieść o tej miłości nadzwyczajnej, dowodząca, że księżę nie był zupełnie ostygly i mógł kochać, obudziła niezwykłe usiłowania pochwycenia tak drogiego serca. Panie sądziły, że z łatwością wybiją mu z głowy tę fantazyę chwilową, i zabiegały drogę w sposób, który tylko obyczaj tamtego czasu nieco uniewinniać mogły. Ale księżę na to wszystko był dziwnie zimny, grzecznością nieco sztydorską odpierając potwarze i załozy, bardzo często milczał, odwracał rozmowę i mówić wcale nie chciał. Narobiło to wiele nienawiści, niechęci i spisków: bo wszystkie panie uznały, że tak rzeczy zostawić nie można; iż należało ko-

niecznie zmusić księcia, by w swym świecie szukał uspokojenia serca. Donoszono prawie codziennie o nowych zamiarach czichania na spokój bohatera, który pokręcając węża, ruszał ramionami tylko, lub odpowiadał swym usługowym szpiegom:

— Dajcie im pokój! niech się bawią... co to mi szkodzi!...

Nikt prawie nie wiedział, jak rzeczy stały w istocie. W życiu człowieka tak wystawionego na ciekawe ludzi szperania, jak książę, trudno było ukryć się z chwilą życia, odkraść ją dla siebie. Śledziły go wszędzie oczy niespokojne; powtarzano sobie po cichu gdzie go i kiedy widziano, kędy jego whisky przeleciał, po której ulicy przejechał konno, gdzie się przemknął pieszo... obliczano potem godziny, aby dojść jak dnia użył, badano sługi, by się dowiedzieć, o której do domu powracał. Na to wszystko książę Józef uśmiechał się pogardliwie, zwłaszcza gdy mu piękna Anna, prześladowająca go miłością swoją od dawna, zdawała rachunek z użycia dnia, który ją niezmiernej pracy kosztował, a był wszakże fałszywy.

Miłość Anny była przywiązaniem, passją, fantazją, nazwiejcie to jak chcecie, wielkiej pani właściwą. Anna była od powijaków pieśczone młodziakiem, miała zachcenia gwałtowne, jak dziecię kapryśne, nie rozumiała poświęceń od siebie, tylko dla siebie... Książę Józef podobał jej się tak, jak wielu innych, ale był synowcem królewskim, był królem młodzieży, był najgłośniejszym... a Annie, która dla niego od dwóch lat okazywała najszałamę, kompromitującą miłość, nie dał innym nad zimną grzeczność dowodów współczucia. Miłości jej, oświadczeń, gniewów, zajęcia zobą, nie chciał rozumieć...

Anna była prześliczną brunetką... ale tak piękną, jak bywają obrazki; rysy miała regularne, wyraz twarzy łagodny i wystudyowany do rodzaju piękności; brak jej było charakteru i wdzięku. Coś marmurowego, zimnego szpeciło tę istotę, w piętnastym roku rozczarowaną, w dwudziestym zestarzałą moralnie. Ze wszystkiego pozostały jej tylko gwałtowne, dziecinne fantazje... gdy zapragnęła czego, musiała

dojść, choćby najkosztowniejszymi ofiarami. Jedną z takich fantazyj była dla niej miłość księcia Józefa, której pragnęła tem goręcej, im książę był obojętniejszy. Chciała się nim pochlubić... chciała pokazać swą siłę. Książę Józef w samym początku zaciekawiony zbliżył się do niej, ale poznawszy lepiej, odstąpił prędko... Pięknej Annie ta passya, umyślnie uwidoczniiona, nie przeszkadzała wcale wieść za sobą rojów wielbicieli... uśmiechać się, bawić, dawać przez kilka dni pierwszeństwo to temu, to innemu, a wzdychać do księcia i na nawet trochę płakać wieczorem z gniewu na niego. Goniąc za księciem po balach i przechadzkach, piękna Anna trafiała na tych, co się za nią upędzali, zapominała o nim i śmiała się do rozpuku z trzpiotami... potem znowu napaadała ją tęsknota okrutna na kwadrans i szła pusty po niej. Anna była jednym z najdoskonalszych produktów wyrafinowanej arystokratycznej cywilizacji, próbką tego, co może z dobrego serca kobiecego uczynić złe wychowanie i zwichnienie pojęć o życiu. Wietrzna, rozpieszczona, zdziwaczała, chwilami dobra jak anioł, to znowu rozwścieczona i niepamiętna na nic, pobożna i zalotna razem, cnotliwa a nieumiejąca rozeznać gdzie się kończy cnota a poczyną wina, szła w życiu, szczęściem prowadzona jego formami, bez których trudno przewidzieć gdzieby zająć mogła. Jeżeli kto to ona zasługiwała na to imię wietrznej istoty, jakim poera wszystkie napiętnował kobiety. Książę Józef miał dla niej jakąś pocziwą litość braterską, ale pokochać jej nie mógł. Im trudniejszym stawawało się do zdobycia to serce, tem było pożądańsze dla Anny; wmówiła w siebie, że bez niego żyć nie będzie mogła, że umrze, jeżeli go nie zdobędzie. Był to wielki cel jej bezcelowego życia,

Można sobie wystawić rozpacz i gniew pięknej Anny, gdy po stolicy rozeszła się wieść, że książę Józef jest zakochany — w kim? nie w jednej z tych piękności, które uwieczniły pastelle Marteau lub pendzel Grassego, ale w prostym dziewczęciu. Wieści mówiły o wieśniaczce... gorzej! o służącej jakiejś... a starościna O... powstarzała, że książę *a le gout si depravé*, iż mógł się zakochać i przywiązać tylko do *pomywaczki*. Zwano tę tajemniczą istotę nieinaczej

tylko *pomywaczką*, a przydomek ten wyrażał całą wzgardę, cały gniew wyższego społeczeństwa przeciwko księciu i owej pięknej (nie wiedzano nawet czy pięknej) nieznajomej jego kochance.

Najgłębsza tajemnica osłaniała stosunki księcia z ową dziewczeczką. Śledzono daremnie, gdzie się ukrywa, wiedzano zaledwie o jej istnieniu. Lecz sama zmiana humoru księcia Józefa jużby go zdradziła. Inaczej całkiem wygląda człowiek szczęśliwy i spokojny, od znudzonego życiem i zniecierpliwionego szukaniem serca i przywiązania człowieka.

Od niejakiego czasu książę Józef niesłychanie się zmienił, przyznawali to nawet najmniej baczni postrzegacze: z zobojętniałego, pochmurnego, czasem trochę złośliwego człowieka, stał się wesołym, pobłażającym, dobrym, jak każdy, co czując szczęście, radby niem, dla harmonii, cały świat obdzielić. Jest to w ludziach pocziwych, że gdy im na świecie lepiej, chcieliby, żeby wszystkim dobrze było. Ten, komu dla przyprawy jego szczęścia potrzeba cudzych cierpień, jest niegodziwą istotą... komu boleść bliźniego zwiększa rozkosze, niewart imienia człowieka.

Nigdy też może książę Józef tak bardzo nie był dla ludzi pobłażającym, nie szukał tak we wszystkim dobrego. nie upierał się, by widzieć jasno świat, człowieka, życie. Nawet ta piękna twarz jego, którą znacie, przybrała wyraz łagodnie zamyślnego spokoju i błogości.

Napozór w jego zwyczajnem życiu i porządku dni nic się nie zmieniło; szperania i rachunki godzin nie wykryły różnego ich użycia... Jak dawniej przelatywał wzdłuż Krakowskiego przedmieścia i Nowego Świata aż do Ujazdowskich alei, niekiedy do Łazienek, konno lub karyklem, sam się powoził i dokazywał cudów, kierując ośmiu szalonemi końmi, uprężonemi do lekkiego powoziku, a słuchającemi skinienia jego silnej dłoni; jak dawniej zapraszał na Wole, do sali Szulca, na pikniki i podwieczorki; jak dawniej tańczył ze śliczną Julią Potocką i z nieodstępnym Wielhorskim pokazywał się wszędzie... a jednak szeptano po cichu, że książę

spędza długie godziny u] nóg tej, którą nazywano ze wzgardą *pomywaczką!*

Raz na wieczorze u pani Branickiej, śmiała i znana ze swych dowcipów pani Lucchesini, żona posła pruskiego, której miłość dla Juliana Ursyna była znana wszystkim, zagadnęła księcia w sposób przykry:

— Mości książę — rzekła do niego po francuzku — prawdaż to, że w. ks. m. masz poczwarne gusta i że wolisz zgrzebne płótno od atlasów, a ręce czerwone od pięknych wypieszczonych dłoni? Cały świat mówi, że książę kocha się, daruj mi wyraz, ale to nie ja go stworzyłam... *w pomywacze!*

Książę Józef się zaczerwienił.

— Pani — rzekł — mógłbym jej odpowiedzieć, że nie każdemu dano kochać się poetycznie i mieć ideał na rozkazy, ale nie chcę być złośliwym. Nie widzę nic tak straszliwie poczwarnego w miłości dla... choćby zresztą dla *pomywaczki*. Serce idzie, gdzie jest wola, niezwyciężona siła magnetyczna; nikt za nie nie odpowiada, jeśli mu się poddaje... Ale powiedz mi pani, co tak znasz dobrze życie salonów, w których atmosferze wzrosłaś, czy w puchach łabędzich wyhodowują się piękniejsze serca i czystsze dusze od tych, które Bóg, powietrze, tęsknota, nędza, opuszczenie wyrabiają w piersiach prostaczych?

— Widzę — odparła kwaskowato pani Lucchesini — żeś książę zwolennik Russa, że wracasz do stanu natury...

Na tem przerwała się rozmowa, a posłowa darować nie mogła księciu, że jej przypominał tak wyraźnie to, o czem dobrze wszyscy wiedzieli, ale na co umyślnie zamykano niby oczy.

Najbliżsi przyjaciele księcia, ci, z którymi żył ciągle i widywał się codziennie, gdy mowa była o tej nieszczęśliwej *pomywacze*, najmocniej przeciwko potwarzy się obruszali, dowodząc, że to wszystko było niegodziwie zmyśloną baśnią. Plotka pomimo to, sił nabierając w pochodzie, wedle łacińskiego przysłowia: *Vires acquirit eundo* — nieoparta na

niczem, coraz to się rozchodziła głośniej i jaskrawszej nabierała barwy. Nie wiedzieć żąd i jak zaczerpnięte, powtarzano sobie na ucho szczegóły osobliwsze poznania się księcia z ową dziewczką, jej przeszłości, charakteru, rysowano nawet fizyognomię i obnoszono jakieś mniemane portrety owej kochanki, tak jak owej ładnej *mtynarki*, która do dziś dnia uchodzi za ulubienicę Stanisława Augusta...

Szczęściem dla księcia, usłudźni salonowi dostarczyciele plotek razem zaczęli popisywać się z dwoma aż portretami, z których jeden do drugiego wcale nie był podobny i zdradzał fantazję ołówkową któregoś z uczniów Bacciarellego lub Norblina. Ta okoliczność wiarę w nich zachwiała.

— Są podrobione — zawołano. — Ale tem bardziej nie przestawano dziwić się postępowaniu księcia Józefa, który taką tajemnicą osłaniał swe miłostki.

Ta tajemnica była przeciw zwyczajowi; wszak przeważnie szukano chluby z tego rodzaju miłostek i rozgłaszano je publicznie. Tajemnica księcia Józefa gniewała też nie mało jego towarzyszy, bo w zasadzie było wzajemne odbijanie sobie kochanek. Staremu Tepperowi odbił ktoś piękną Alicyę, Francuskę, o czem przynajmniej trzy dni mówiono na ucho, ale tak, że wszyscy słyszeli... Najbliżsi przyjaciele serdeczni księcia Józefa zabierali mu się wypłacać figla, do którego i piękna Anna z drugiej strony zachęcała... Na nieszczęście owa *pomywaczka* kryła się tak, że nikt a nikt o niej nie wiedział... Jedni szukali jej w Mokotowie, drudzy na Woli, inni upatrywali ją na Krakowskim-Przedmieściu... lecz koniec końców nikt jej nie widział i nikt o niej nie wiedział...

— Ale to ostatni wstyd i sromota! — wołała piękna Anna — waćpanowie nie zdaliście się na nic wszyscy... Już ciż można krok w krok za nim chodzić i dośledzić. O, gdybym ja była mężczyzną!...

Chodzili też krok w krok, ale niczego nie doszli.

Jednego wieczoru piękna Anna jakoś była znużona, czuła się chorą i postanowiła nie wyjeżdżać i nie przyjmować nikogo. Galonowany szwajcar odprawił wszystkich słowami: — Nie ma kasztelanowej w domu.

Niektórzy, nie słuchając go, wchodzili na piętro i za-

siegali wiadomości od kamerdynera, który wiedział doskonale, kogo można było wpuścić do przedpokoju, kogo zaś potrzymać pod drzwiami i stwierdzić tylko udzieloną na dole przez szwajcara wiadomość.

Znudzona pani Anna siedziała w swoim budoarze w neglizowym stroju, oszitym koronkami, ze swoim ulubionym szpicem, poziewając. Siedzenie na kanapce niebieskiej, które zajmowała wśród ałasowych poduszek, tak było urządzone, że naprzeciwko miała zwierciadło, stanowiące drzwi do drugiego pokoiku toaletowego i Anna spoczywając, mogła zawsze surowo się zastanawiać nad sobą, czyniąc rachunek sumienia, z pomocą wiernego odbicia swych wdzięków.

Miała nawet to przywyknienie, że w domu i wszędzie, gdziekolwiek się znajdowała, szukała zwierciadła, lubiła w nie patrzeć, chcąc zawsze zdawać sobie sprawę z najmniejszych szczegółów ubrania, pobiąły, rumieńca, pudru, fryzury...

Obok Anny siedziały dwie jej najserdeczniejsze i nieodstępne przyjaciółki: pani, którą naówczas w Warszawie zwano *Dziobatką*, bo ją ośpa mocno poszpeciła, znana ze złośliwości i dowcipu, a chlubiąca się najpiękniejszą figurą w pasie, dającą się ująć w dłonie mężczyzny i siostra stryjeczna Anny, stolnikowa, młoda kobiecina, której charakter stanowiło to, że się zawsze i wszędzie nudziła i ziewała. Mimo młodości i wdzięku, świat, w którym się obracała, wcale jej nie zdawał się obchodzić, żyła w nim, nie znajdując przyjemności. Kręciła się wszakże z drugimi, ale roz-targniona i zaspana.

Ta trójka przyjaciółek długo gwarzyła, przebiegając dzieje całej Warszawy, wyszukując skandalików, karmiąc się świeżuchnemi nowinami, jak olbrzymy mięsem świeżem w bajkach, gdy nareszcie piękna Anna spytała Dziobatkę, wzdychając:

— A cóż o księciu Józefie? Nic nowego?

— Zawsze Pepi ciebie zajmuje, moja droga...

— Nie wymawiajcie mi mojej słabości czy uporu...

C'est plus fort que moi... Ale wiecież co nowego?

— A! co mi dasz, to ci opowiem całą i ciekawą historię? — odezwała się Dziobotka.

— Cóż? może tę, którą sto razy słyszałam, o pomywacze? Ale wiecież, gdzie się to jego bóstwo ukrywa?

— Wiemy przynajmniej, jak wygląda, co robi. To cały romans, moja droga...

— A mówże i nie trzymaj mnie na dwóch łapkach, jak czasem mego Dzidzi cukrem zmuszam do służenia... No mów! bez przedmowy...

Dziobotka uśmiechnęła się...

— Wiecie, gdzie ona mieszka? — spytała Anna.

— Jeszcze nie, ale się dowiemy wkrótce...

— Wiecie jak się zowie?...

— O i tego nie jeszcze...

— Jak wygląda przynajmniej?

— Wszyscy mówią, że blondynka i że wcale nie jest tak ładną, jakby się domyślać można... dziewczę młodziuchne, twarzyczka dosyć pospolita, trochę świeżości... *Mais le curieux de l'histoire*, to miłość Pepi, który ją wychowuje, daje jej metrów, kształci, uczy i odwiedzając, całuje w rękę z uszanowaniem...

I Dziobotka szepnęła coś na ucho Annie, która ruszyła ramionami.

Stolnikowa ziewając, dopomniała się o udział w nowinie owej, którą powtarzano na ucho. Anna śmiejąc się, podała jej trzy słowa i wszystkie śmiać się zaczęły.

— Ale to niepodobna!

— To nie ma sensu...

— Mów dalej, kochana... dodała Anna; ludzie stworzyli sobie jak widzę romans Marmontel'a z tej bardzo pospolitej historii.

— To co wiem, mam z najlepszego źródła — rzekła Dziobotka. Wierzyć, nie powiem, żebym wierzyła... ale jest w tem coś prawdy... a wreszcie: *se non e vero, e ben trovato*.

— Koniecznie chcą go zrobić bohaterem! — szepnęła stolnikowa.

— Ale moja kochana, mów już, bo goreję z ciekawości.

— Pepi najął dla niej przepyszne mieszkanie, osadził przy niej starą guwernantkę, rozpoczął wychowanie tego dziecka... ale sam prawie jej nie widuje...

— A! to coś szkaradnego — odezwała się Anna — z taką zinną krwią, z taką bezlitością karmić tę nieszczęśliwą jak bydłę, która jutro na rzeź wydane zostanie. Wiele się przebacza namiętności gwałtownej, ale w tem jest coś tak rozmyślnie występnego! Uważacie — dodała — radabym Pepi uniewinnić; ale bądźcie szczere — do czego to podobne, taka wyrafinowana, chłodna, obrzydliwa rozpusta?...

Stolnikowa potwierdziła sąd siostry.

— *Cela n'a pas de nom!* — rzekła powoli.

Dziobątka, która wcale inaczej zapatrywała się dotąd na tę romantyczną przygodę, zrazu milczała, potrzebując czasu na zmianę nagłą zdania, ale po chwili zawołała:

— Może nie macie racyi... On ją kocha gwałtownie, szczerze, serdecznie i właśnie dla tego szanuje ją.

— Miłość platoniczna! — rozśmiała się Anna — dajże mi z tem spokój! Pepi platonicznie rozkochany!

Chwilka milczenia przerwała rozmowę; na twarz Anny wystąpił rumieniec gniewu... wstała i poczęła się przechadzać po buduarze.

— Ale to wstyd, to ohyda dla nas wszystkich! — zawołała wzruszona, stając naprzeciwko lustra, w którym się przypatrywała z przyjemnością wdzięcznej swej postaci i rozdramatyzowanym ruchom... Wy wszystkie nie umiecie obrać, chować następstw tego wypadku. Zastanówcież się! pomyślcie! uważajcie! Pepi jest kwiatem naszej młodzieży, na niego świat ma oczy zwrócone... Człowiek jego wieku, jego temperamentu musi kochać... Odrzuca kobiety, kobiety swojego świata, gardzi nami wszystkimi, rzuca nam w oczy obelgę, jakby mówił: „Żadna z was mojej miłości i serca nie jest warta, będę sobie szukał kochanki na śmieciisku, tamta jeszcze lepszą od was będzie!” Czyż to nie jasno? czy nie wyraźnie?... Posądzam go, że to zrobił umyślnie; mężczyzna jego wychowania, jego charakteru, nie mógłby się przywiązać do takiej prostaczki, szurgota... Jest to poprostu tylko wymierzona do nas impertynencya; mówi nam: „Żadna z was nawet *pomywaczki* nie warta!” To śliczne! A my? my z założonymi rękami spoglądamy na tę historię i obojętnie przyjmujemy policzek... nie umiemy się ująć za sobą nawet..

brak nam wstydu, któryby obudził gniew! Nie chcemy się pomścić, jakbyśmy czuły, że nas słusznie ta obelga dotyka...

Stolnikowa, rozbudzona żywym przemówieniem siostry, zmierzyla ją oczyma blademi, otworzyła usta, ruszyła ramionami, ale się nie odezwała. Dziobątka śmiać się zaczęła.

Podskoczyła ku Annie, chwyciła ją w objęcia i krzyknęła z zapalem:

— Wiesz co, zrobimy spisek na Pepi... Ty stajesz na czele... pokażemy, że pomścić się potrafimy... Masz słuszość, tego przebaczyć nie podobna... Potrzeba obmyśleć środki, naradzić się *et porter un grand coup*... Pepi nam wszystkim ubliżył, jest to niegodziwość z jego strony, jest to obrachowana obelga...

— A więc zemsta!... Jutro zbieramy się u mnie dla narady; mężczyźni będą wyłączeni: którykolwiek z nich mógłby nas zdradzić; kochają go wszyscy i są dla niego pobbżający...

— Ale czy się bez nich obejdziemy?

— Obejdziemy! Tajemnica jest najściślejsza pod przysięgą! dodała żywo, zapalając się Anna. U mnie jutro pierwsze posiedzenie...

Dziobątka, ilekroć miała coś do czynienia i intrygę do prowadzenia, była najszczęśliwszą; znać było po niej, że myśl spisku dogadzała jej niezmiernie. Pochwyciła kapelusz i chustkę...

— Jadę i zwołam na jutro wszystkie... O której godzinie?

— Na dwunastą! ale tajemnica!

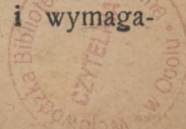
— O! tajemnica! Od niej wszystko zależy...

— Słowo?...

Jak najuroczystsze...

Tegoż wieczoru książę Józef wiedział o niedoszłym spisku... Stolnikowa szepnęła o tem mężowi, Dziobątka francuzowi, który się w niej kochał, Anna jednemu z wielbicieli. Książę śmiał się do rozpuku.

Narada uroczysta u pięknej Anny odbyła się o oznaczonej godzinie i przedstawiała prawdziwy sejmik niewieści... Uznano sprawę w istocie za niezmiernie ważną i wymaga-



jąca gwałtownych środków... Postanowiono wymierzyć wszystkie baterie wdzięków i przymileń na księcia Józefa, aby go od miłości, niegodnej bohatera, oderwać, a z drugiej strony dojść koniecznie do tajemniczej kochanki i starać się dowiedzieć, że stałość i wierność nie są wcale przymiotami ludu i niższych stanów. Tryumfowano za wczasu trochę... Piękna Anna brała na siebie oderwanie tego, którego serce postanowiła pozyskać, choćby dla tego, by je potem ze wzgardą odrzucić i pomścić się za długą nieczułość...

Pierwsza część programu łatwa była do wypełnienia, bo nie było dnia, żeby się nie spotykali z księciem Józefem druga zależała cała od tego, by odkryć mieszkanie i istotę ową tajemniczą, o której mówili wszyscy, a nikt jej dotąd nie widział. Nie można było tego dojść inaczej, tylko śledząc wszystkie kroki bohatera i w ślad za nim wkradając się do mieszkania nieznanomej. Tu już kobiecie zabiegi były niewystarczające. *Dziobotka* wprowadziła ofiarowała się przebrać za mężczyznę, ale wszystkie panie odrzuciły to poświęcenie, znajdując je daremnem. Na szpiega takiego potrzeba było mężczyzny zręcznego, któryby nie wahał się znieść przykrości, jakie ten stan za sobą pociąga i dotrwał, choćby u zamkniętych wrót, na ulicy, w błocie, póki by do celu nie doszedł.

W tem była główna trudność, bo posadzano wszystkich bez wyjątku mężczyzn o stronność dla księcia, o tajoną przyjaźń dla niego, wreszcie o sprzyjanie sprawie męskiej więcej niż wielkiemu przedsięwzięciu pięknych pań. Gdy przyszło do wyboru, zdania wielce się rozdzieliły i podawani kandydaci przez te panie, niemal wszyscy odrzuceni zostali. Znalezienie potrzebnego człowieka było niesłychanie trudne... Obawiano się zdrady...

Po długich i burzliwych rozprawach, w których dzwonek prezydentki Anny często nieskuteczną, ale niespokojną odgrywał rolę — stanęło na tem, żeby powierzyć jej samej wybór tego, którego sejm niewieści do odkrycia tajemnicy delegował. Piękna Anna wzięła to na siebie, mając w myśli niedawno ze wsi przybyłego kuzynka, śmiertelnie w niej zakochanego, o którego poświęceniu dla siebie nie wątpiła.

Dalsze prowadzenie ważnej dla wszystkich sprawy miano obmyślić naówczas, gdy kuzynek na pewno dojdzie do ukrytego skarbu i da o nim szczegółową wiadomość. Słowo o tym kuzynku jest konieczne. Był to młody staroście Zabielski, wielkich nadziei, ale małego doświadczenia w świecie; Anna obowiązywała się nim pokierować i być mu we wszystkim mistrzynią.

Staroście, oddany przez matkę w opiekę pięknej Annie, zaczął od tego warszawską karierę, że się w niej śmiertelnie zakochał. Wychowany na wsi, chociaż opierał się o świat większy, mało go znał wprzód. Matka, kobieta zajzraciejsza i nieumiejąca dostrzedz nigdzie złego, ani w nie uwierzyć, strzegła jego młodości i zachowała w nim świeżość serca, z którą przybył do Warszawy, ciekawy, rozmarzony, pragnący... Tu jakoś rozjaśniło mu się w głowie, ale odchorować musiał na utratę ideałów, na wiarę zachwianą w to, co święta matka tłómaczyła mu wcale inaczej, niż się z blizka pokazywało. Staś Zabielski pozostał tylko z jedną niewzruszoną wiarą... w piękną Annę... Miłość, z której sobie kuzynka żartowała, czyniła z niej dla niego bóstwo; widział w kasztelanowej samą doskonałość.

Niezbýt wielkiego umysłu, pocziwego dosyć serca, lekki i ulegający wrażeniom, Staś w świecie zaczynał odgrywać tę rolę, która dla niego była przeznaczona, istoty niesamoistnej, łagodnej, mającej być narzędziem silniejszych. Na teraz władała nim piękna Anna...

Nazajutrz po wielkim sejmiku niewieścim, wyprawiła Anna karteczkę do Zabielskiego, prosząc go do siebie na samo południe. Chłopiec przyleciał jak oparzony o jedenastą i przesiedział w przedpokoju godzinę, nim się pani przybrała i stała widzialną. Wpuszczono go nareszcie do buduaru, w którym śliczna Anna właśnie piła czekoladę, siedząc jak zawsze naprzeciw zwierciadła. Była zachwycająca... w białych obsłonach negliżu, w czepeczku rannym, z lokami rozpuszczonemi umiejętnie, w szlafroczku różowym, który rozwarły, bogato obszyty koronkami, osłaniał spódniczkę.

Koniec maleńkiej nóżki w pantofelku aksamitnym gryzł właśnie Dzidzi, który porzucił tę zabawkę, lecąc natarczywie na przybyłego... Staś przystanął we drzwiach zachwycony obrazem... Anna uśmiechnęła się w duszy, czując, jaki urok na niego rzucała; nieśmiały młodzieniec z bijącym sercem ledwie umiał się przywitać.

— Chodźże tu bliżej kuzynku... chodź i siadaj... Chcesz filiżankę czekolady?

— O! dziękuję, dziękuję...

— Słuchaj, mam wielkiej wagi sprawę, którą ci chcę powierzyć, *ce seront vos premières armes*... Ale nie zawieź mnie, starościcu... Wybrałam ciebie, bo wiem, że mi jesteś oddany. *N'est ce pas?*

— A! całą duszą... życiem.

— O! o! tylko proszę nie iść za daleko! Będę ci bardzo wdzięczna, ale bardzo !...

Spojrzenie dokończyło, pełne głębokiego znaczenia, pełne uroczych obietnic.

— Nim zacznę dodała Anna, stawiając filiżankę; muszę naprzód wymagać przysięgi...

— Na co każesz?..

— Przysięgi *d'un homme d'honneur*, na największą tajemnicę... *J'espère que vous êtes discret.*

— Jak kamień...

— Przysięgasz?

— Przysięgam na wszystko najświętsze... a naprzód na moją... na mój szacunek dla ciebie...

Podawała mu rączkę bieluchną, miękką, atlasową jakby dla przyjęcia przysięgi. Staś złożył na niej gorący pocałunek. Gotów był się powiesić za nią.

— Zobacz, czy ta nieznośna Róża nie podsłuchuje poddrzwiami. *Elle est d'une curiosité*... Idź na palcach...

Młodzieniaszek poszedł i obejrzał się dokoła, a Dzidzi towarzyszył mu w przechadzce, chwytając go za nogi.

— Niema nikogo.

— Siadajże, ale bliżej, abym cicho mówić mogła...

I wskazała mu miejsce tuż przy sobie,

— Wiesz lub nie wiesz, musiałeś słyszeć przecie, że książę

Józef, gardząc nami wszystkimi... zakochał się w jakiejś prostej dziewczynie, w szurgocie, *une laveuse de vaisselle... enfin*, nie wiedzieć w kim... *E'est une horreur!* Postanowiliśmy go ukarać! Ale potrzeba dojść, kto jest ta kobieta gdzie ona mieszka... jak wygląda... a nikt dotąd tej tajemnicy przeniknąć nie umiał. Jesteś wybrany na to... musisz się dla mnie poświęcić...

— A! rzekł młody chłopiec... Ale nauczcież mnie co mam robić?...

— Śledzić go krok w krok i dojść, dojść koniecznie; naówczas doniesiesz mi, gdzie się ta kobieta ukrywa. A... resztę zobaczymy...

Staś mocno był zmieszany: spodziewał się innej roli, wyznaczona zdawała mu się niemal uwłaczającą... Być szpiegiem, nawet dla ślicznej kuzynki, nie było dla niego milem. Twarz jego mimowolnie wydała to wrażenie... ale Anna uśmiechnęła się, a oczy jej, przez chwilę skierowane na starościca, przekonały go wkrótce, że nie było ofiary, do którejby dla niej nie czuł się zdolnym...

— A więc?

— Zrobię co tylko będę mógł! rzekł Zabielski...

— Zrób nawet to, co ci się zda niemożliwe i wierz mojej wdzięczności...

— Idę, lecę, nie odstąpię go krokiem...

— Ale rozumie się, musisz go śledzić niepostrzeżony, przerwała Anna przestraszona: w największym sekrecie... Książę jest domyślny, ty musisz być ostrożny, pamiętny. A teraz idź i nie trać czasu...

— Lecę! rzekł starościc...

Anna podała mu rękę na pożegnanie i upoiła go wzrokiem.

— Byleby jakiego głupstwa nie zrobił! rzekła w duchu; o zapale nie wątpię. Ale czy ten mu *da zręczność*?

Wybiegłszy dopiero na ulicę i ochłonawszy po wrażeniu tych czarodziejskich spojrzeń, które go nabawiły szalu,

starościc pomiarkował, że rzecz, której się podjął, nie była tak łatwa, jak się na pierwszy rzut oka zdawało...

Nie należał oo do tych satelitów, do *tężyzny*, która nieodstępnie prawie okrażała księcia i całe dni z nim spędzała... nie mógł tak nagle przywiązać się, przyczepić i śledzić go niepostrzeżony... bał się, aby go nie odkryto, aby się roli upokarzającej, jaką przyjął na siebie, nie domyślono; nie chciał narazić się księciu i jego przyjaciołom, bo z wpływem ich walczyć nie mógł... Poczuł, że się porwał na zadanie przechodzące jego siły...

Na los szczęścia rzucił się do powozu najętego i kazał wieść się na Krakowskie, spodziewając się gdziekolwiek spotkać księcia i znaleźć pretekst, by się go ucześcić na dzień cały! Ale zaraz na wstępie postrzegł karykl karemi końmi zaprzężony, który szybkim klusem mignął mu tylko przed oczyma i zniknął lecąc, w aleje Ujazdowskie...

Staś kazał jechać, za księciem...

Chociaż powóz który naprędce pochwycił, zaprzężony był dobrymi końmi, świeżo sprzedanymi przez hr. Thomatisa, i rozpoczynającemi dopiero swój zawód najemników, nie można było niemi walczyć z rumakami księcia Józefa, który tylko kurzawę ogromną podniósłszy za sobą, mignął jak strzała i zostawił w tyle wszystkich. Na rogu alei Ujazdowskiej była naówczas modna garkuchnia, w której wyprawiano śniadania; najstawniejsze w niej były raki, ale, że na nie pora jeszcze nie przyszła, zastępowały je kurczęta i różne przysmaki, a lepiej jeszcze olbrzymie libacye, tak naówczas częste i w codzienny prawie obyczaj weszłe od Sasów.

Karykl księcia Józefa stał właśnie przed tym domkiem otoczonym zielenią, a kilka innych powozów dowodziło, że oprócz niego było gości wielu... Staś poznał konie Potockich, Lubomirskiego, Sapiehy... Chociaż nieproszony wcisnął się do sali...

Książę Józef przechadzał się, nie myśląc zasiąść do śniadania, zrobił grzeczność amfitryonowi, że przybył, ale nienawykły do kielicha, umoczył tylko usta i zabierał się już do odjazdu, pod pozorem pilnej bardzo wojskowej sprawy...

Staś przywitał się z nim grzecznie... i z przestrochem dostrzegł na twarzy księcia dziwny, prawie szyderski uśmiech.

— A! spodziewałem się tu ciebie! rzekł mu książę.

— Jak to?

— Chodź to ci powiem dlaczego, dodał pierwszy, biorąc go pod rękę i uprowadzając w głąb salki. No! patrz mi w oczy śmiało! Anna ci kazała mnie śledzić i wykryć tajemniczą istotę jakąś, o której wieść chodzi, że w niej zakochany szalenie. Nie kłam i przyznaj się... zdrowiej ci będzie.

Piorun byłby mniej może wstrząsnął starościca niż te wyrazy. Cofnął się przestraszony...

— Widzisz, ja jestem czarownik i wiem wszystko, nawet to, coście przed półgodziną mówili z sobą w buduarze Anny... choć jeden Dzidzi był świadkiem. Nie zapieraj się, nie mam ci za złe, żeś jej przyrzekł, co chciała. Jesteś w tym wieku, kiedy dla czarnych oczu, dla ramion otoczonych koronkami białymi, osłonionych w aksamity i atłasy, życie się nawet poświęca... Niestety! szkoda życia! ale mniejsza o to... Mina podsadzona podemnie jest odkryta... ale mi cię żal, chcę cię ratować Stasiu...

— Mości książę...

— Dwa słowa... Daj sobie wieczorem zawiązać oczy, a będziesz widział tę, którą tak odkryć pragniesz... i pozwolę ci opowiedzieć co posłyszysz i zobaczysz... Chcesz?

Staś stał osłupiały. Struchłał, nie wiedząc co ma odpowiedzieć.

— Nie zapieraj się... przyjmujesz?

— Przejmuję! rzekł z czerwieniony chłopak... Ale książę się nie gniewasz?

— Widzisz, że się tylko śmieję...

Podali sobie ręce...

— Starościcu, jesteś młody, dodał książę Józef — jedną ci dam radę: dawaj kobietom życie, jeśli je masz na zbyciu! ale... strzeż się w ich ręce powierzyć... honoru... Dziś to jesigraszka, jutroby mogło być gorzej... Do zobaczenia! o got dzinie dziesiątej czekam cię u siebie... przyjdź pieszo... Do-

póki nie zobaczymy się. nie masz prawa pisać ani słowa...

Staś skłonił się pomieszany.

— Unikaj dziś Anny... jutro powiesz jej wszystko... Latać za mną... byłoby napróżno, nie odkryjesz nic... ja ci sam wszystko pokażę... Anna będzie na herbacie u hetmanowej, ty nie jedź... Zresztą bądź spokojny, wyjdiesz zawsze z tryumfem, zobaczysz to, czego świat nie widział... Do widzenia.

To mówiąc, książę odwrócił się, wbiegł w kółko biesiadujących na chwilę i pojechał do Mokotowa, do księżny marszałkowej Lubomirskiej. Śniadanie, na które gwałtem wproszono Stasia, przeciągało się dalej, przybierając rozmiary niezmiernej pijatyki. Młodzież doszła do tego stopnia rozszalenia i dobrego humoru, iż przewidywać było łatwo, że się śniadanie na sucho bez jakiejś bistoryi nie skończy. Jakoż w istocie gotowała się ta sławna później sprawa, o której wspomnieć musimy, bo maluje dobrze ten dziwaczny szal, jakiemu ówczesna młodzież ulegała. Rozpowiadano długo o tem śniadaniu, Inlandczyk podróżny, który zostawił opis swej podróży po Polsce, wspominał o niem jako o charakterystycznym rysie obyczajowym epoki:

Księżna marszałkowa utrzymywała u siebie w Mokotowie wielką ilość rozmaitego ptactwa i drobiu: bażanty, kury afrykańskie, pawie, które ożywiały ogród i dziedziniec. Do wielu ówczesnych fantazji, na jakie próżnujący ludzie chorować zwykli, należała hodowla zwierząt, zamięlowanie w bonończykach, a u mężczyzn amatorstwo koni niepospolitych i drogich. Przeplacano taranty, konie izabellowe, małeńkie kucyki, długogrzywe lub fryzowane. Księżna marszałkowa lubiła bardzo swoje kury i gąski; może też krowiarnia Maryi Antoniny trochę na to wpływała. Po wyjeździe księcia Józefa do Mokotowa, młodzież wychylała kielichy, które wprędce rozpałyły głowy. Zrodziły się żale i pretensye do księcia, że im towarzystwa nie dotrzymał. Ktoś rzucił myśl: „Weźmiemy wina z sobą i pogonimy za nim do Mokotowa..“

— Brawo! jedźmy do Mokotowa!

W takim usposobieniu umysłów najniedorzeczniejszy wniosek bywa przyjmowany łatwo. Ruszyli się wszyscy, obśiedli powozy, zabrano kosz szampana, i cała ta czereda, śpiewając pieśni pół-francuskie pół-polskie, zatoczyła się przed ganek, gdzie naturalnie jej nie przyjęto; księcia Józefa także nie zastali. Odmówienie, które spotkali u drzwi, obraziło przewodców tej demonstracji...

Musimy choć kartę wizytową po sobie zostawić...

— Zrobimy polowanie!

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale wszystek drób i ptactwo księżny marszałkowej padło ofiarą śniadania; kury, indyki, pawie, gęsi, pościnano szablami. Trwała ta rzeź i upędzanie się za wypłoszonym ptactwem dobrą godzinę, a ludzie księżny, z razu próbowawszy stanąć w obronie przeciw napaści, zmiarkowali, że z podchmielonymi nie ma co żartować, cofnęli się i wydali na pastwę nieszczęśliwe zwierzęta...

Dokonawszy tej krwawej zemsty na niewinnych ofiarach, tryumfatorowie powrócili w Ujazdowskie aleje, aby tam czas przepędzić aż do reduty... na którą umyślili wtargnąć wszyscy, ufarbowani i poprzebierani za kominiarzy... Przystosowanie do tej nowej wyprawy zabrało czas do wieczora.

Wieczorem przed redutą była herbata u pani Branickiej. Książę Józef, który resztę dnia po przejażdżce rannej spędził w domu z książką, ubrany w tę kurtkę, w której mu tak było ślicznie i do twarzy, pojechał do hetmanowej. Wiedział, że i król miał być tam na chwilę. Traf chciał, żeby się z nim właśnie u drzwi spotkali.

— A cóż to ciebie Pepi nie widać nigdzie? spytał Stanisław August.

— *Cher oncle*, ci mnie tylko nie widzą, co nie chcą.

— Ale rzadkim poczynasz być w zamku...

— Zawsze jestem na rozkazy, najjaśniejszy panie, dodał książę Józef.

Król westchnął i spuścił głowę.. Weszli na wschody,

gdzie u góry czekało króla niemal całe towarzystwo. Książę Józef wsunął się w jego orszaku, i znalazł się wkrótce otoczony kwiatem kobiet wystrojonych, wybrylantowanych, które mu się uśmiechały z dziwnie szyderską miną...

Anna była pomiędzy niemi, prawie tryumfująca; udawała, że wacha przepyszny bukiet, który trzymała w ręku, ale oczy jej z ukosa wpatrywały się w bohatera, który postrzegłszy ją, ze szczególnym pośpiechem i nadszkakiwaniem zhlizył się zaraz do niej. Anna zrazu udała, że go nie spostrzega, przywitała dosyć obojętnie; tak wymagała strategia, która każe grać chłód, gdy spostrzega z drugiej strony choćby promyczek uczucia. Książę Józef uśmiechając się ją przywitał.

— Jakżeśmy się dawno nie widzieli!

— A! to przynajmniej nie moja wina! odparła Anna z wymówką...

— Moja zbrodnia, do której się przyznaje, i na klęczkach o przebaczenie za nią proszę.

— Książę to nie na mnie jedną jesteś tak niełaskaw, ale na cały nasz biedny świat... Utonąłeś gdzieś w swych książkach, czy... ja nie wiem, ludzie różnie mówią.

— A! czegoż to ludzie nie mówią!

— O! to prawda! na księcia szczególnie, o którego wszyscyśmy zazdrośni...

— Cóż naprzykład?

— Żeś zakochany...

— A! w pomywaczce! *vieille histoire!* słyszałem...

— Bo jużciż w wieku twym, mości książę, nie można nie kochać...

— Ale można głęboko miłość ukrywać...

Książę westchnął.

— Jeżeli się jej wstydzić potrzeba...

— Jeżeli jest bez nadziei i bez przyszłości...

— Dla was, mości książę! nie ma miłości bez nadziei... cicho szepnęła piękna Anna.

— O! pani, rzekł książę — różne są nadzieje... Nazywam najnieszczęśliwszą miłością bez nadziei taką, która nie zasłania nam sobą całego życia aż do grobu, która jest jak

kwiatek wdzięczny, co ma nieodzownie jutro uwieść; lepiej go nie zrywać,

— Dla czego? nie jestże wszystko szczęście tego świata tylko wonią kwiatka chwilową?

— To odstręcza od życia! westchnął książę. Szczęściem, że całe życie nie zamyka się w miłości...

— Tak, dla was... ale dla nas...

— A! droga pani, dajmyż pokój tej żegludze po rzece *du tendre*... mówmy otwarciej, wybuchnął książę Józef. Szalony, ktoby życie za miłość postawił... bo któraż z was kochać umie?

— Mości książę!

— Któraż z was ma serce? dodał książę Józef: co się u was sercem i miłością nazywa? Bądźmy szczerzy: fantazyja, podbudzona miłość własna, próżnostka, próżnowanie... ale cichego, głębokiego przywiązania na wieki, gotowego do poświęceń... o! tego u was szukać byłoby stratą czasu i szaleństwem...

— I dlatego książę — odparła urażona Anna — puść się w podróż odkryć pomiędzy... pomywaczki...

— *Vous y tenez!* rzekł śmiejąc się książę; niech i tak będzie... Spodziewam się odkryć jeśli nie Amerykę, to choć spokojną jaką wysepkę na oceanie, gdzieby po trudach długiej żeglugi i burzliwego morza odetchnąć można...

— Coś w rodzaju Robinsona Cruoe'go? rzekła Anna.

— Pani dziś jesteście złośliwą.

— O! nie, wierz mi książę, jestem w jak najlepszym humorze...

— Ja także, zawołał książę Józef. Jak to się szczęśliwie schodzi! moglibyśmy zabawić się wesoło...

Anna spojrzała mu w oczy; w istocie błyszczał w nich dowcip i swoboda.

— On szczęśliwy! rzekła w duszy: z czoła mu promienieje tajemnica! Szczęśliwy... z kim? jak? *c'est indigne!*

W sercu pięknej pani zrodziła się zazdrość gorąca; książę patrzył na salon z obojętnością człowieka starego, któregohy lalkami bawić chciano...

Piękna Anna odsunęła się powoli.

— Czekaj! szepnęła w duszy: nie ukryjesz się przed nami, musimy wiedzieć twą tajemnicę; a wówczas *nous aviserons!*

— Mości książę! rzekł zbliżając się do niego Branicki, na którym znać było nieco hulankę obiadową i świeżo opuszczony stół biesiadniczy. Stoisz jak marmurowy Apollo belwederski wśród tego raju, zimny, obojętny... Jeśli tych oczu blaski nie potrafią cię ożywić, to coś u licha życie w tobie obudzi?

— Co? rzekł książę: wiesz co? oto trąbka bojowa, koń rżący z niecierpliwości, kurzawa bitwy i pogoni, i gorączka walki zajadłej... A! gdyby znowu wojna, jakbym poleciał znowu skąpać się w tym ukropie!... odżyłbym może jeszcze! Tak gnuśnie patrzeć w czarne oczy... raj Mahometa... ale śmierć sercu męskiemu.

— A! a! czarne oczy! piękna Anna! szepnęła Branicki: widzę co się święci... i toż przecie walka... Życzę szczęścia i usuwam się z drogi...

To mówiąc wszedł między mężczyzn, a książę Józef po chwili wysunął się z salonu.

Starościc Zabielski, odprawiwszy swój powóz. czatował już na księcia Józefa, i gdy ten powracał do domu, znalazł go na ganku, trochę ostudzonego chłodem wieczornym i rozmyślaniami dnia całego.

— A! słowny jesteś, rzekł książę: to dobrze; chodź ze mną, zdaje się, że nie pożałujesz zachodu.

Weszli do saloniku, w którym gospodarz zostawił gości, dając mu jakieś wielkie *in folio* do przeglądania, a sam poszedł się przebrać. W kwadrans potem powrócił po cywilnemu i zawołał do starościca po francusku:

— Jeszcze mamy jedną formalność do spełnienia. Oczy ci zawiążę; ale gdybyś przypadkiem jakim odkrył okolicę i poznał miejscowość, wymagam słowa honoru, że o niej Annie słowa nie powiesz.

— 33 —

Mość książę, rzekł starościc ponieważ mnie sam wiesz, nie masz się o co obawiać.

— Więc idziemy... Służę ci.

Nie wyszli z pałacyku przez główne drzwi, ale bocznymi schodami. Książę przeprowadził Zabielskiego po ciemku; ścieżką, która szła do ogrodu, spuścili się na dół, wyszli fórtką, ukrytą w zaroślach, a na ulicy zastali stojący powóz zamknięty, bombę wrodzaju tych, jakie wówczas były w modzie. Książę wpuścił naprzód starościca, czarną chustką silnie zawiązując mu oczy, siadł potem sam i szepnął coś furmanowi. Powóz mimo ciemności potoczył się szybko... Starościc spodziewał się zorientować, wkrótce poplątało mu się w głowie; czuł bruk pod kołami, potem ziemię ubitą, potem znów twarde kamienie i znowu miękkie błoto wiosenne, i znów nierówny bruk miejski... Powóz po dobrej półgodzinie szalonego biegu wstrzymał się, a książę wyciągnął starościca, zakazując mu oczy odsłaniać; ujął go za rękę i poprowadził z sobą po cichu. Zabielski słyszał otwieranie fórtki i drzwi kluczem, który przybyły miał z sobą... Raz czy dwa woń zielonych drzew i gałęzi, wilgotnych rosą wieczorną, dała się uczuć starościcowi; potem weszli do mieszkania.

— Stój tu, rzekł książę: naprzeciw ciebie są drzwi szklane przysłonięte firanką. Możesz ją ostrożnie poruszyć i patrzeć... ale siedź cicho, bo się pogniewamy. Jeśli masz kaszel, staraj się go stłumić w sobie.

Zabielski usłyszawszy instrukcję, żywo oderwał z oczu zasłonę i obejrzał się. Księcia już nie było... Stał w pokoiku ciasnym, ciemnym, ale trochę światła wpadało do niego przez zasłonę we drzwiach, u których go postawiono. Z ciekawością niezmierną Staś zbliżył się do nich, poruszył firankę i wzrok chciwy zatopił w przyległym pokoiku, w którym panowała cisza.

Pokoik był bardzo skromny, cały ukwiecony, świeżuchny, w okienkach białe firanki upięte wdzięcznie, sprzęt przyzwoity, jakkolwiek niewytworny wcale... Stolik, kanapka mały klawikordzik w kątku, na którym leżały nuty otwarte na stoliku trochę książek i papierów; świeca woskowa pa-

liła się, nie bardzo strzeżona widać, bo długi knot jej świadczył, że o niej zapomniano.

Tuż w fotelu drzemała staruszka, której pończocha spadła na kolana, a głowę pochyliła aż na piersi; sen widocznie ją zmógł mimowoli, bo palce trzymały jeszcze druty i poruszały się nieco, jakby do pracy powrócić chciały... Naprzeciw zamyślane, z rączkami skrzyżowanymi na kolanach, z główką pochyloną, siedziała dziewczę dziwnie piękne, drobne, kształtne, z czystym czołem dziewiczem, które koronowały gładko uczesane włoski, z różową buzią aniołka i wyrazem niewinności na twarzy, prawie dziecinnej. Staś uderzony był tą pięknością, niepodobną do hałaśliwych, narzucających się wdzięków pań stołecznych; była sobie cichą piękną jak obrazek jakiś, jak marzeńko niebieskie i tak beznamiętnie, spokojnie szczęśliwa, jak gdyby dla niej zakres pragnień nie przechodził progu izdebki. Kiedy niekiedy spoglądała na staruszkę i uśmiechała się nieznacznie z wyrazem przywiązania i czułości.

Gdy się tak starośćic przypatruje ciekawie, chwytając wszystkie szczegóły obrazką, drzwi się otworzyły i wrzedł powoli na palcach książę.... ale nim jeszcze ukazał się w progu, już przecucie zwróciło ku niemu główkę dziewczęcia, które zadrżało, zerwało się z krzeselka i na palcach pobiegło ku niemu, wskazując uśpioną staruszkę...

Zdumiał się bardzo starośćic, widząc, że książę przywitał podbiegającą pocałowaniem jej ręki, nie wskazując wcale spoufalenia zbytniego... ale natomiast w oczach jego i Julii promienista świeciła radość.

— *Mais c'est une idylle!* rzekł w duchu starośćic, któremu żywo biło serce.

W tej samej chwili staruszka się przebudziła; żywo naprzód zaczęła robić pończochę, nie spostrzegłszy księcia; otarła knot u świecy i zobaczywszy go dopiero, zerwała się zmieszana...

— A! mości książę! odezwała się po francusku stara. Mogłoby się wydać komu, że zasnęła, chociaż doprawdy nie spałam. Julka siedziała zamyślona i mnie także przyszły wspomnienia do głowy.... sama nie wiem...

— Ale moja Lagrange... grzech to nie wielki... gdybyś nawet zdrzemnęła...

— Doprawdy mości książe nie spałam...

Julce pusty śmieszek przelatywał po ustach, ale usiłowała go ukryć i przytłumić... Patrzyła na księcia, a książe na nią z uczuciem spokojnego przywiązania...

Staroście stał osłupiały.

— Cóżś robiła, moja panno Julio? zapytał po chwili.

— O! dzień nam przeszedł jak zawsze w pracy...

— Ona się istotnie zmęczyła, podchwyciła p. Lagrange. Z rana przychodził Folino dni rysunku... pokażże album moje dziecię... potem de Santis do śpiewu i fortepianu... potem czytałyśmy razem...

— A! tego nudnego Rollina... przerwała Julia... aleś książe kazał uczyć się...

I spojrzała na niego...

— I chodziłyśmy na przechadzkę, dodała staruszka... wieczór był prześliczny...

— A więcej co, moja miła? zagadnął książe

— No cóż, tęskniłam po księciu... odparło dziewczę: jak zawsze...

— O! czyż po mnie?

— Alboż jest kto dla mnie więcej na świecie nad mojego księcia, mojego pana?

— Opiekuna, dodał książe Józef wesoło — starego, nudnego opiekuna, który przychodzi dawać nauki moralne, bez względu na wiek, na młodość trzpiotowatą.

— Książe się obgadujesz, rzekła Julka; a mnie się na lzy zbiera, gdy na ciebie patrzę...

— O! już jak ona kocha księcia, to doprawdy aż do niedorzeczności, odparła p. Lagrange. Cały dzień, żeby pomysłała o czym innym: rysuje, mówi o księciu; chodzimy, patrzy tylko czy go gdzie nie zobaczy.

— I nie nudno ci tak, moja Julko? spytał książe...

— A! możeż być nudno w takim szczęściu?

Staroście dojrzał lzy w jej oczach... Spuściła główkę zarumieniała się milcząca.

— 36 —

— Ale książę-by co może zjadł? przerwała p. Lagrange; mamy poziomki... śmietankę...

Julka nic nie mówiąc, podniosła oczy na niego powoli, a Francuzka zaczęła się kszatać około podwieczorka... Zostali sam na sam; coś szeptali z sobą, ale starościc z podziwem przekonał się, że ta pogardliwie pomywaczką przezywana dziewczeczka, była dla księcia jakby dzieckiem ukochanem; że miłość jego dla niej była pełna poszanowania i tliwości, czemś na ów wiek zepsucia niepojęcie czystem, idealnem.

Z obu stron widać było przywiązanie namiętne, ale umyślnie ze strony księcia utrzymujące się w granicach szczęścia czystego i niezakłóconego.

Gdy w niebytności pani Lagrange pocałował ją w czoło ze wzruszeniem, Julia oblała się rumieńcem, jak krwią cała, pochyliła się na jego ramię i znowu parę łez brylantowych zaświeciło na jej powiekach.

— O mój panie! jakże mi dobrze żyć tem życiem, które otwarłeś przedemną, coraz szczerzem sercem, coraz silniejszą myślą, coraz większym spokojem ducha! Cóż gdy czuję, że te kwiaty dla mnie rozwijają się nad brzegiem przepaści. Ciebie inny świat, inne przeznaczenie czeka... każda chwila może mi ciebie odebrać... a potem... cóż?... samotna śmierć...

Po czołe księcia przeleciała chmurka i westchnął...

— Nie Julko, póki ty mnie kochać będziesz i ja ciebie, nic nas nie rozdzieli... Tyle mojego szczęścia, co przy tobie i z tobą... Może przyjdzie chwila, gdy mię obowiązek honoru powoła z orężem w rękę na pole walki, wówczas rozstać się będziemy musieli.. Może umrę... Mam przeczucie wczesnej śmierci, ale się jej nie boję, wierzę w przeznaczenie pozagrobowe... dziwne sny przelatują mi głowę... Wiesz zdaje mi się często, że pamiętam jakieś życie przed tem życiem i spodziewam się życia po śmierci... Jakiego? nie wiem. Czuję, że ciebie gdzieś wprzód widziałem... spotkałem, żeśmy się już kochali dawniej... Byliśmy dwojgiem ptaków... lataliśmy razem nad szerokimi płaszczyznami, mieliśmy gniazdko u brzegu w sitowjach... Mnie dziki strzelec zranił, padłem w wodę i tonąłem... czułem krzyk twój... latającej nademną...

— 37 —

muskałaś skrzydłem fale, które mnie pochłonać miały; jam się pasował z niemi... naostatku i głosu już twego nie słyszałem... Głucha, straszna otoczyła mnie ciemność, jakby sen długi bez marzeń...

— Co też to książę sobie roisz! zawołała Julka, której usta uśmiechały się, a oczy zachodziły łzami. Ja do-
prawdy niedobrze nawet rozumiem... Gdzieżby człowiek mógł się stać ptaszkiem, albo ptak człowiekiem?

Książę zadumał się chwilę...

— Ty możesz była kwiatkiem na łące, różanym, nie
prawdaż? rzekł uśmiechając się.

— Książę sobie żartuje...

Wtem pani Lagrange wniosła poziomki i śmietankę. Książę zasiadł z Julką przy stoliku i zaczęła się cicha rozmowa...

Starościc patrzył i ta scena sielankowa, te rozmowy urywane, to obejście się braterskie księcia Józefa, niezrozumiałemi mu się zdawały, jakby komedia dziwna i prawie śmieszna.

Już ten świat Warszawy trochę był go zepsuł, ale Zabielski był młody i uczucie wkrótce przemogło... Z uwielbieniem, z zazdrością począł się wpatrywać w ten obrazek cichego, spokojnego szczęścia.

— A teraz do egzaminu, zawołał po chwili książę: pokaż mi robotę... zagraj mi co, zaśpiewaj...

— De Santis z niej nadzwyczaj kontent, rzekła szybko pani Lagrange; mówi, że świeższego, piękniejszego głosu nie słyszał od dawna... Rokuje Julce świetne powodzenie, gdyby kiedy w operze wystąpić chciała.

Książę się rzucił i zmarszczył.

— Co za myśl! zakrzyknął. Teatr! nigdy na to nie pozwolę... Czyż głos Bóg dał na to, aby koniecznie z niego szukać chluby, oklasków i zysku? Dość-by było nogą stąpać na te deski, aby stracić spokój i niewinność duszy!

Julka pobiegła do fortepian i nie słysząc protestacyi księcia, zaczęła świeżym, pełnym głosem aryę Mozarta, ale po pierwszych taktach książę jej przerwał.

— Dość! dość! rzekł; ta myśl teatru truje mi wrażenie

jej śpiewu... Zdaje mi się, że ją widzę zmienioną, wystrojoną, śmiejącą się stu na raz czcicielom... wietrzną, pustą i bez serca...

Julka skoczyła od fortepianu i żywo przybiegła do księcia, patrząc mu w oczy wzrokiem, w którym oburzenie błyskało.

— Książę, rzekła, nie wszystkie kobiety rodzą się bez serca, lub tracą je w młodości... Ja czułam je w piersi, nim zaznać jego bicia umiałam; ja go już nie stracę. To życie, o którym mówi stary de Santis, nie uśmiesza mi się wcale, wystrasza mnie jak groźba. Ja kocham ciszę, spokój, ten mój los, nad który szczęśliwszego nie pojmuję, ja czuję, że oklaski nie nasycają, że burzą i niepokoją... Chciałabym śpiewać dla mego opiekuna, grać, uczyć się, wyrozumieć, wypieknąć, aby mnie uznał kiedy za godną tego przywiązania braterskiego, którym mnie biedną obdarował niezasłużenie... Chciałabym być czemś dla niego, dla niego jednego... a potem, gdy mu się znudzę, gdy mnie odepchnie, zapomni, resztę życia spędzić we wspomnieniach, na marzeniu o chwili szczęścia, na rozpamiętywaniu dni jasnych...

Julka rozplaka się, książę uspakajał ją czule, ale znać było po nim, że się powstrzymywał i hamował, że więcej czuł niż okazywał, że umyślnie nawet wesołość, której w duszy nie miał, udał dla jej rozweselenia. Powrócono do poziomu.

Starość patrzył przejęty, a ile razy wzrok księcia skierował się ku niemu i fircy, za którą stał, prawie się gniewał na niego za to obojętne postawienie go za drzwiami szczęścia, jakby nic nie znaczącą jakąś istotę.

Pokutnicze wyczekiwanie za drzwiami i przypatrywanie się scenie, która coraz zajadlejszą zazdrość budziła w Zabielskim, trwało dosyć długo. Naostatek książę po rozmowie cichej z Julką, którą potrafił rozweselić i ożywić znowu, pożegnał ją i panią Langrage, która zjadłszy niemal wszystkie poziomki, już drzemać znowu poczyniała. Po chwili starość uczuł rękę, która go ujęła i wywiodła na powietrze. Książę

zawiązał mu oczy i wsiedli do powozu. Jakiś czas milczeli oba, nareszcie książę się odezwał poważnie:

— Widzisz tę rozpustę sybaryty, szukającego upojenia w poczwarnych jakichś zachceniach. Nadto jesteś młody, abym potrzebował ci dowodzić, że ten stosunek zrodziła pustka serca, brak uczucia, a nie szal jakiś zwierzęcy. Nasz świat, starościcu, jest światem drewnianych lalek, po których towarzystwa żywego człowieka, serca prawdziwego pragnie się jeszcze goręcej. Te lalki łudzą cię pozorem, drażnią, do rozpacz przywodzą. Któż mi może wzbronić tego pół-braterskiego, pół-ojcowskiego szczęścia, którego kosztuję przy tem dziecku?... Można mię spotwarzyć, o to nie dbam.. Lecz okrucieństwem byłoby stawać mi na drodze... i śmiać, coby to przedsięwziął, życiem-by przypłacił pewnie. Po atmosferze salonów tu świeżem oddycham powietrzem, tu naturalnego widzę człowieka, tu czuję serce, tu kocham i zapominam o wszystkim. Możesz opisać Annie coś widział — dodał książę — ale nie podawaj tego w szyderstwo, bobyś popełnił występki...

Staś milczał, dziwnie przejęty i pomieszany...

— Gdzie cię mam wysadzić? spytał książę Józef.

— Gdzie się księciu podoba.

— Może naprzeciw mieszkania Anny? Zdasz jej sprawę z posłannictwa pod pierwszym wrażeniem, to lepiej. Nie ma więcej nad północ, wpuszczą cię jeszcze... Zaspokój to gorączkowe pragnienie ciekawości.

Po chwili powóz na dany znak wstrzymał się i starość zamyślony znalazł się przed pałacem zajmowanym przez Annę. Książę odjechał ku zamkowi, a Zabielski ogłuszony zastukał do bramy, po za którą świeciło się jeszcze.

— Pani wróciła? spytał szwajcara.

— Niema jej, ale jest spodziewaną co chwila, a przykazano mi, gdybyś Jw. pan przybył, prosić byś na nią raczył poczekać.

Staś wszedł na schody, układając w głowie, co jej opowie.

— 40 —

W sali palił się ogień na kominku, w żyrandolach światło; u drzwi Louis drzemał oczekując, a Dzidzi na aksamitnej poduszce zawarczał z daleka, mniej będąc zuchwałym w niebytności pani. Starościc rzucił się na krzesło; głowę miał pełną obrazu, który tylko co widział, serce jakieś rozkołatanę, niespokojne. Szczęście sielankowe księcia Józefa w tym salonie zdawało mu się prawie śmiesznem, tak jak ów salon z izdebki Julki wydałby mu się nieprawdopodobnym. Porównywał w myśli Annę z tą prostą dziewczką i namietność tylko ciągnęła go do pierwszej, gdy do drugiej wiodła siła nieznana spokojnego współczucia.

— Jestem śmieszny przez swoją wrażliwość, rzekł do siebie. Jak to być może, żeby to dziewczę taką w mych pojęciach czyniło zmianę? Dlaczego Anna zdaje mi się mniej powabną? Dlaczego te wspaniałości i zbytki rażą mnie jak teatralne łachmany?...

Domawiał tych wyrazów, gdy szmer się zrobił w domu, i piękna Anna w szalu indyjskim, który się za nią włókł puszczoney z ramion, w toku z piórami, wśliznęła się do salonu... Dzidzi wybiegł naprzeciw niej, szczekając.

— A! starościc! zawołała, szukając oczyma nie jego, ale zwierciadła — z raportem! nieprawdaz?...

Staś zdziwił się, mimo blasku stroju obrachowanego na podniesienie jej wdzięków, znajdując ją mniej piękną niż zwykle, ładną sztucznie, zbyt wymuszoną pięknością. Anna rzuciła się na sofę.

— Cóż masz? spytała cicho, ze zwierciadła rzucając na niego wzrokiem omdlałym.

Starościc nie bez zgryzoty pewnej sumienia zaczął jej opowiadać wszystkie przygody. Anna słuchała milcząca, niekiedy uśmiechając się kwaśno. Mimowoli w mowie starościca czuć było zazdrość trochę i zbyt wielki zapal do ubogiej dziewczki.

— Wszyscyście tacy, przerwała mu wśród opowiadania Anna, byle co nowego, niezwykłego, choćby biedne dziewczę z garderoby... imaginacya się zapala... A! fe!

— Pani, rzekł Staś, to wygląda wcale inaczej, niż sobie wyobrażasz...

— 41 —

— Cóż tedy idylla!.. mów dalej.

Staroście mówił, płatał się, Anna parę razy ziewnęła.

— Wiesz przecież gdzie to jest? spytała obojętnie.

— Miałem oczy zawiązane.

— Mogłeś trochę im sfolgować..

— Dałem słowo.

— W takich rzeczach?

Staś się trochę obruszył.

— Ale mi już teraz na nic nie potrzebne, dodała Anna
chłodno: dziękuję ci za staranie, ale musztarda przychodzi
po obiedzie, ja wiem już wszystko..

— Jak to? skąd? spytał staroście zdziwiony.

— Myślałeś, że się na ciebie spuszcze?... Przeczuwałam,
żeś nadto młody do tej misji poufnej; prosiłam kogo innego,
i ten mi doszedł zaraz, gdzie ona mieszka. Jutro zobaczę
i osądzę własnymi oczyma..

Staś, który sądził, że mu będą bardzo wdzięczni, smutnie spuścił głowę.

— A! jak późno! zawołała Anna, patrząc w zwierciadło
razem i w zegar nad kominem: idź spać! musiałeś się
zmęczyć.

I podała mu białą, okrytą brylantowymi pierścieniami
rączkę do pocałowania... „Dziękuję ci“.

W głosie tym było się można domyślić wymówki za
okazany entuzjazm dla Julii, jakby: „Dziecko jesteś...”

— Nic mi pani nie masz więcej do rozkazania? spytał
staroście.

— Tylko jak najściślejszą tajemnicę... dobranoc.

Staś smętny i zmieszany, powoli wyszedł jednymi
drzwiami, gdy Anna, zawsze biały swój szal wlokąc za sobą,
sunęła się drugimi drzwiami do sypialni, prowadząc Dzidzi,
który naszczekiwał..

W ówczesnej alei Ujazdowskiej zaczynały już gdzie
niegdzie wznosić się maleńkie drewniane lub w części mu-
rowane domki, wśród rozległych ogrodów. Głucho tu jesz-
cze było i mniej życia panowało w tej stronie niż dzisiaj

ale w lecie szukano tu powietrza wiejskiego, a ogrodnicy spekulowali, zasadzając owocowe drzewa i warzywa. Wśród tych sadów gdzieś niedługo mały parterowy domek, na letnie przeznaczony mieszkanie, wznosił się niepozorny i skromny. Wogóle małe te mieszkanki nie zwracały oczu wcale, nikt tam znaczniejszy jeszcze się nie osiedlił... W pośrodku prawie alei, po prawej stronie, jadąc od Warszawy, dosyć obszerny grunt opasywał w części mur, a w tyle wysoki parkan drewniany... Zamknięta prawie zawsze fórtka od alei nikogo nie nęciła, tak była prosta i niewykwintna. Od ulicy żadnego nawet domu widać nie było. Stał on w głębi otoczony drzewami na końcu alei z grusz i jabłoni, wyglądał jak uboga chatka ogrodnicza.

Nikt tam nie domyślał się mieszkańców, tak byli dobrze zakryci wśród zieleni, gałęzi i bujnych grząd ogródka.. We dnie fórtka była szczelnie zamknięta a drugie wejście od Mokotowskiej uliczki, niedostrzeżone, niepozorne, służyło do codziennych stosunków z miastem... W tym domku o kilku pokojach od roku już mieszkała Julia. Pani Lagrange uchodziła, za jej ciotkę, a Folino i de Santis nie wiedzieli wcale o stosunkach pięknej dziewczeczki z księciem.

Stary Włoch wygadał się niepotrzebnie z uwielbieniem dla głosu nieznajomej dziewczeczki z Ujazdowskiej alei i przez jego to paplanie o portrecie księcia Józefa, wiszącym w pokoju jej, odkryto Julki mieszkanie.

Wszakże, wiedząc nawet, gdzie się ukrywała, niełatwo było się tam dostać... Pani Lagrange, surowa i podejrzliwa, obawiała się i księcia i strzeżonej przez się dziewczeczki i intryg miejskich, któreby spokojny jej byt zachwiać mogły. Fórtka od alei otwierała się tylko na wieczorną przechadzkę, a od ulicy dla służącej i ogrodnika. Klucze zawsze prawie nosiła przy sobie sama Lagrange. Julka, której w tem zielonym gniazdeczku było dobrze, wcale nie utyskiwała na zamknięcie i odosobnienie, ciężko ono nieco Francuzce tylko, ale powoli przywykała do niego.

Nazajutrz koło południa u drzwi od ulicy zadzwoniono natarczywie; trafiało się to często przez omyłkę szukających kogo innego, ale tym razem zakwestionowana kobieta wyraźnie za-

żądała widzieć się z panią Lagrange... Wypadek był nadzwyczajny; sługa pobiegła oznajmić, zostawiwszy przybyłą w korytarzu...

Francuzka mocno się przelekła i wybiegła do sieni...

— Co to być może? kto to być może?

— Madame, odezwał się z pod czarnego kwefu głosik kobiecy: słówko tylko... pozwól mi wniknąć do środka.

— Pani... tu nikt nie wchodzi... ja nie mogę...

— Przychodzę od króla, przerwała nieznajoma. Ściągniesz na siebie pani gniew jego, opierając się napróżno... Prowadź mnie pani do pokoju.

Lagrange zmieszana nie wiedziała co począć. Tymczasem przybyła wyminęła ją i posunęła się żywo, instynktem zgadując dokąd iść należało...

W saloniku małym siedziała Julia u fortepianu i śpiewała... Czysty jej głosik rozlegał się daleko. Nieznajoma na palcach wcisnęła się, stanęła, patrzyła, a kwef jej oddechem niecierpliwym się poruszał. Nie zważając na panią Lagrange i drżącą ze strachu, przybyła rzuciła się na krzesło!..

Julka śpiewała... Po chwili głos jej umilkł, ręce zsunęły się z fortepianu, zamyśliła się, westchnęła i oczy skierowały się ku nieknemu pastelowi Marteau, wyobrażającemu księcia Józefa...

Gdyby kto był w tej chwili podniósł czarną zasłonę, okrywającą twarz Anny, dojrzałby gorejący na niej rumieniec, który przebijając bielidło, coraz krwawszym oblewał ją płomieniem zazdrości i gniewu... Ręce jej drżały, pierś podnosiła się żywo, naostatek odsnęła kwef, który ją osłaniał i podeszła wprost do klawikordu. Julia sądziła po chodzie, że pani Lagrange się zbliża, więc przelekła się straszliwie, ujrzawszy nagle zupełnie nieznajomą kobietę, wlepiającą w nią oczy ogniste, jakiegoś uczucia, dla Julii niewytłomaczonego, pełne... Krzyknęła, porywając się z siedzenia.

Anna wciąż na nią jeszcze patrzyła, zdając się ciekawością przebijać zasłony. Wzrok ten zuchwałły wielkiej pani

— 44 —

przyglądającej się istocie, którą miała za daleko niższą od siebie, miał w sobie coś tak przykrego i bolesnego, że Julia uczuła od niego ból wewnętrzny; instynktowo otuliła się rękami, cofnęła krok, oddech jej się wstrzymał, uczuła zbliżające się niebezpieczeństwo i oczyma zaczęła szukać opieki pani Lagrange, która stała w kątku, równie jak dziewczę przelękła.

— Czego pani chcesz odemnie? dlaczego się tak we mnie wpatrujesz?

— Patrzę i nasycić się nie mogę! odparła syczącym głosem piękna Anna. Jesteś prześliczną panienko! ale ci to nie daje prawa jeszcze tak się patrzeć na ten portret... Za wysoko sięgasz oczyma.

Julia uczuła w piersiach jakby gorące żelazo.

— Pani! cóżem winna?

— A tak! tyś nic nie winna, zawołała Anna miarkując się; tyś niewinna jak my wszystkie i jak my padniesz ofiarą serca łatwowiernego... Ty go kochasz?

— Pani!... Julii słów zabrakło; łkanie precisnęło się przez usta...

— Ty go kochasz? nie prawdaż?

— Jest-że to grzechem? może być niebezpieczeństwem? spytała Julia, odzyskując przytomność. Cóż świata i pani, której nie znam, do moich uczuć i mojego losu?

— Mnie! nic, ale cię chcę ratować, tyś nad brzegiem przepaści.

— Skądże to miłosierdzie?

W tej chwili dwa wzroki kobiece spotkały się z sobą, i Julia poczuła się już równą Annie... Oburzyło się w niej uczucie godności.

— Czego pani chcesz odemnie? Co to wszystko znaczy? Dlaczegoś tu pani weszła? Kto panią tu wprowadził?

Anna nie spodziewała się tego zagadnienia; idąc czuła się tak wyższą, tak silną; zdawało jej się, że tak z góry potrafi się obejść z wylekłą dziewczyną, iż teraz pojąć nie mogła, dlaczego wstyd jej było i jakiś ogarniał ją niepokój.

— O nie gniewaj-że się moja piękna panno, dodała uśmiechając się kwaśno. Jestem krewną, tak jak siostrą

księcia... przyszedł cię przestrzedz i ratować. Rodzina nasza nie ścierpi takiej miłości, takiego związku; książę jest lekki i płochy, nie chcemy też, żebyś na niego i na nas narzekała.

W tem wszystkiem bardziej jeszcze w głosie niż w wyrazach, było tyle płataniny, wahania się, sprzeczności, że Julii serce samo wskazywało jakiś podstęp.

W miarę jak wielka pani traciła odwagę, ona jej nabierała.

— Jednem pani słowem odpowiem, odezwiała się Julia. Pomiędzy mnie a księcia nikt nie ma prawa wchodzić. Książę jest wolny, jam swobodna; wiem, że nas dzieli przepaść, i patrzę na nią śmiało, bo to ramię, na którym wespół się mogę jak na ręku ojca, przeprowadzić mnie może przez nią, ale nie wepchnie w nią nigdy. Ja mu wierzę. Czernisz go pani, zarzucając mu płochosć. Jest płochym może z ludźmi płochymi, jest poważnym i surowym ze mną i dla mnie. Cóż zresztą komu do tego, że cierpieć mogę? Skarżyć się nie będę, a jeśli chwilę spokojnego i czystego szczęścia opłacę tęsknotą długą... to mój rachunek z sumieniem i Bogiem!... Książę jest szlachetnym, książę jest dla mnie tylko opiekunem i bratem, a choć świat w przywiązaniu naszym dopatrzy plam, przez oczy splamione, ja wyjdę czysta i spokojna... Tak jest pani, kocham go, zginę dla niego jeśli będzie potrzeba... ale siebie i jego nie skażę narzekaniem. Co wam do mnie ubogiej i biednej dziewczyny? co wam do cichego mego szczęścia?

Anna stała, słuchała ze zdumieniem. Ta śmiałość, ten zapał, z jakim mówiła Julia, były dla niej rzeczą tak nową, że się czuła upokorzona i zmieszana.

— Przepraszam, odezwiała się wreszcie — bardzo panią przepraszam. Spodziewam się, że mnie przynajmniej nie oskarżysz przed księciem.

— Nie mam dla niego tajemnic.

— Moje chęci były jak najlepsze... nie myślałam, że obrażę i narażę się... przyszedł tu... ale się cofam... Nie chcesz pani rady... nie obawiasz się przyszłości... tem lepiej...

nie strzeż się!... strzeż!... Młodość nie umie ocenić życia, **traca się zuchwale...**

Julka **wcale** nie przelekła się tych wyrazów, uczucie **napędzało** oczy jej łzami; podniosła je z wolna na portret **księcia** i dodała:

— Bądź pani spokojna.. Ten, którego kocham, nie **jest** pospolitym człowiekiem, ani powszednim egoistą, **wysysającym** kwiaty motylem; więcej ja mu winnam, niż poświęcić dla niego mogę... Z radością, ze szczęściem poniosę **życie w ofierze...** i nie zakłócę jednej jego godziny... **Odepchnię** mnie, pójdę w milczeniu i nie jęknę...

To mówiąc, ukłonem poważnym pożegnała Annę, która postawszy jeszcze chwilę, dosyć pomieszana i prawie zawstydzona, powoli wysunęła się z pokoju... Julia padła na kanapkę zemdlona.

Z tego wejrzenia na Julię, na domek, w którym mieszkała, na to małe a skromne gospodarstwo wiejskie, Anna wyniosła tylko jedną naukę, zdawało się jej, że książę, aby kochać, potrzebuje miłość oprawić w ramki drewniane i bluszczem ją ustroić, że chce cichego, skrytego, jakiegoś sielskiego kochania. Płocha wietrzniczka dostrzegła tylko lupinę, nie pojmowała istoty przywiązania i tego, co je rodziło.

— Ale ona **wcale** nie jest piękna, mówiła wracając do siebie: sądziłam ją daleko ładniejszą; ręce czerwone... choć zresztą małe i kształtne... coś pospolitego w postaci... trochę młodości... nie lękam się jej... Książę chce widocznie sielanki. O! potrafimy przecie i my ją skomponować.

Z głową rozplómienną wpadła do domu, a przed bramą zastała właśnie *Dziobatkę*, która odjeżdżała nie zastawszy jej. Wychyliła się z karety, przywołując przyjaciółkę i obie razem weszły do salonu. Na twarzy malowało się niezwykle uczucie.

— Nie powiesz nikomu? szeptać zaczęła gospodyni, zatraskując drzwi gabinetu. Słowo?...

— Najświętsze!

— 47 —

— Słuchajże! widziałam ją! byłam u niej!

— U kogo?...

— U kochanki Pepi. Doszłam, dotarłam, widziałam ją
własnymi oczyma... wiem wszystko.

— A! mów! mów! jakże to wygląda?

— Fantazyja zdziczalego człowieka... niby sielanka! za-
częła nieporządnie odpowiadać Anna, mieszając to co wi-
działa, co chciała zrobić, co sądziła i co się jej zdawało.

Widzenie się z Julią, rozmowa z nią, w ustach ko-
biety, której głowa zawsze czynniejszą była niż serce, przy-
brało dziwne rozmiary i charakter; zrobiła z niego scenę
dramatyczną, przekreśloną, uzupełnioną i artystycznie posztu-
kowaną... Co szczególna, że własna Anny kompozycja,
zmieszana ze wspomnieniem świeżem jeszcze, utworzyła
dla niej nieprawdziwą prawdę, w którą jak najświęciej
uwierzyła.

Dziobatka słuchała trochę niedowierzająco, ale dosyć
sympatycznie.

— Wiesz co uczynię? dodała w końcu Anna: natych-
miast najmą domek w alejach; ustroję go, przebiorę się
za dziewczkę prostą i jestem pewna, że księcia Józefa mieć
będę, że mu się oczy otworzą... *Elle est si commune!*

— Czekaj! myśl lepsza daleko, przerwała przyjaciółka.
Oddalić tę panienkę, a zająć jej miejsce... zastanie ciebie
w jej miejscu, to się przyczyni do wrażenia; ona mu się
już też znudzić musiała...

— Pst! pst! cicho! i tajemnica jaknajwiększa! Zoba-
czymy!

Potem trwały jeszcze długo narady i przyjaciółki ro-
zeszły się w jak najszcześniejszem usposobieniu, całując się
serdecznie, co dowodziło, że jedna drugiej były w tej chwili
potrzebne.

Przez kilka dni nic nowego nie zaszło. Julia przecho-
rowawszy odwiedziny Anny i długie omdlenie, na usilne
prośby pani Lagrange, która się obawiała, aby jej książę
nie oddalił i za opieszałość się nie gniewał, postanowiła

zamilczeć o całej tej scenie, która na długo zostawiła w jej sercu smutek i jakieś zwątpienie. Gdy książę przybył wieczorem i zastał chorą Julię, wytłomaczyła mu się z tego zaziębieniem, gorączką; domyślał się wprawdzie czegoś, ale Julia starała się usunąć podejrzenia. Nazajutrz rano przyjechał Lafontaine i nic nie znalazł prócz nerwowego podrażnienia i osłabienia; szepnął księciu, że przyczyną słabości nie musiało być zaziębienie, ale jakieś uczucie, jakiś wpływ moralny...

Podwoił książę czułości, starania, wesołego humoru, aby te chmury rozprościć, a na trzpiotowstwie i dowcipie nie zhywało mu; ale ta przymuszona wesołość zdawała się powiększać jeszcze smutek Julii.

— „Cóż się tu stało?” mówił w duchu książę. Starał się rozpytać Francuzki, ale wylekła staruszka zaklinała się na wszystko, że nie pojmuje co mogło być przyczyną smutku, że żadnej widocznej przyczyny nie wie i t. p.

Starościc Zabielski od owej wieczornej wizyty w domku przy alei Ujazdowskiej chodził także jakby opętany... Dowiedział się od Anny o mieszkaniu Julii, zdawało mu się, że się w niej kocha, i począł myśleć o środkach zapoznania się i zbliżenia. Anna bardzo tę myśl prędko odgadłszy, popierała ją, rachując, że i to na coś przydać się może... Ale starania Zabielskiego, aby się dostać do domku, który pani Lagrange strzegła teraz z podwójną czujnością, do niczego doprowadzić nie mogły. Wiezorami często godziny całe wartował starościc pod bramą, aby spotkać te panie wychodzące na przechadzkę, ale i to mu się nie udawało.

— Z jednej strony starać się, aby Julię zbalamucił starościc, z drugiej samej się podstawić w jej miejsce, to mój plan... Nie może się nie udać! mówiła Anna.

— Musi się udać! dodawała Dziobotka.

I spiskowały zajadle...

Tego wszystkiego ofiarą padł tylko nieszczęśliwy Zabielski, któremu najprzód zapaliła się głowa, od głowy za-

jęło się serce, a od niego poszedł pożar dalej, tak, że biedny młodzieniec chodził jak zwarzony...

Książę Józef łatwo się domyślił uczucia.

— Kochany starościcu, rzekł mu na ucho jednego razu na wieczorze u Potockich: przestrzegam cię, żebyś mi w drogę nie wchodził... Strzelam nieźle i ręczę ci, że do serca człowieka, któryby mi chciał wydrzeć szczęście moje, nie chybię... Spokój tej kobiety droższy mi nad wszystko! Jeżeliś uczciwy człowiek i trochę znasz świat, nie myśl o żadnych intrygach... *à bon entendeur salut!*

Ale starościc ulać się nie mógł, a niebezpieczeństwo zwiększyło tylko namiętność.

Przez czas jakiś wszystko zdawało się w zawieszeniu; roboty były tak skryte, iż nici ich prawie na wierzch się nie pokazywały. Anna dla uspokojenia księcia Józefa, który ją podejrzewał o intrygę, udawała najzupełniejszą obojętność; zmieniła tylko nieco gusta i starała się okazywać jak najskromniejszą, głośno odzywając się z upodobaniem w prostocie. Strój jej zakrawał nieco na pasterki Boucher'a i Watteau... Kwiatek we włosach, biała sukienka, wstążka gładka, ubierały wielką panią, której z tem, wyznać potrzeba, dosyć było ładnie. Ale książę zdawał się nie dostrzegać zmiany. Tymczasem niespokojny starościc pracował; głowa mu się coraz mocniej paliła... Nie mogąc dostać się do domku, w którym mieszkała Julia, przelazil przez mur o zmroku i jak złodziej wartował pod oknami, aby przez uchyloną zasłonę choć jej twarzyczkę zobaczyć. Widział ją przy robocie, przy klawikordzie; gonił nadaremnie po przechadzkach; zbliżyć się nie mógł. Przypadek, który miesza się często do spraw ludzkich, zlitował się wreszcie nad niedolą starościca. W Warszawie bawiła u PP. Sakramentek zamieszkała stara guwernantka, która wychowywała siostrę Zabielskiego. Była to przyjaciółka ich domu; starościc czasami ją odwiedzał z polecenia matki. Raz w czasie tej krótkiej wizyty, stara poczęła się przed nim użalać na osamotnienie i nudy; starościna ją do Sakramentek wysłała, ale Francuzka nie godziła się z życiem klasztorzem, tęskniła do świata i życzyła sobie wyjść z pod klauzury.

— Gdybym znalazła siostrę moją, o której dobrze wiem, że jest w Warszawie — mówiła — mieszkałybyśmy razem... Ale gdzie się ta Lagrange podziała nie mogę dosledzić.

Poszukując siostry starej guwernantki, Zabielski wpadł na trop i dowiedział się, że Lagrange mieszka przy Julce. Ostrożny, nie zawiadomił o tem od razu starej przyjaciółki, ale obrachował, że ten zbieg okoliczności może pomódz jego zamiarom. Podjął się sam poszukiwań, pośrednictwa i tak dostał się do domku Julii... Wielka miłość uczyniła go zrecznym dyplomata... Lagrange, która także oddawna szukała siostry, dała się uwieść nadzieją znalezienia jej i trochę o niebezpieczeństwie grożącym Julii zapomniała.

Jednego wieczoru wpadł Zabielski do Anny z oznajmieniem, że wszystko było gotowe.

Co? zobaczymy zaraz...

Gdy Anna w prostej białej sukience muslinowej siadała do powozu, Zabielski puścił się w cwał ku Mokotowiu...

Piękna Anna długo szukała stanowczego środka oderwania księcia Józefa od tego dziewczęcia, które uznała popolitem, niegodnem takiego szalonego przywiązania... i sama jak mówiła, przez czystą miłość ludzkości, chciała się poświęcić, aby wydrzeć z serca bohatera uczucie, tak szkodliwe pociągnąć mogące za sobą następstwa.

Plan, jaki ułożyła piękna pani był wcale oryginalny... Postanowiła oddalić Julię jakimkolwiekby sposobem, a sama zająć jej miejsce. Nie wątpiła, że książę ujrzawszy ją w tym domku, w stroju prostym, zniżającą się dla niego i przetwarzającą na prostą dziewczkę, gwałtownie roznamiętnić musi. Z drugiej strony starościc miał porwać Julię... Spodziewał się, że dziewczę go pokocha... Wszystko zostało ukartowane jak najlepiej. Julja wśród przechadzki miała sięść do powozu z panią Lagrange, a powóz mimo jej woli i wiedzy uwieźć ją miał do domku przygotowanego przez starościca. Na nieszczęście pięknie osnute projekta, nie wiedzieć jak,

zostały odkryte, choć pilnie starano się, aby w jaknajwiększej pozostały tajemnicy.

Gdy Zabielski, dawszy znać przed wieczorem Annie, sam dopadł koni i pogonił za uciekającą Julią, która uwięzioną być miała, Julia tymczasem jechała za wiedzą księcia do Jabłonny... Zabielski gonił tylko powóz, w którym siedziała stara guwernantka siostry...

Anna pośpieszyła do tego domku, w którym marzyła już scenę z księciem, mającą być pierwszą dramatu, osnu tego naprzód i pełnego wazjięku jak obrazek Bacciarellego.. Dojechawszy do Alei, z bijącym sercem weszła do pustego domku, który zdawał się być przygotowanym na jej przyjęcie. Wszystko tam tętnęło ciszą, spokojem i szczęściem sielankowem, które przed chwilą z niego uleciało... Na klawi-kordzie leżał jeszcze otwarty zeszyt Mozarta... Bukiet pół-zwiedły stał na stoliku, książka założona wstążką białą na kominie. Anna urządziła spotkanie, obmyśliła jak miała usiąść, aby książę odrazu jej twarzy nie spostrzegł, jak miała ułożyć postawę i ręce, głowę, aby się jak najwdzięczniej oczom jego objawić...

Za każdym szmerem odwracała głowę i w oczach się jej ćmiło; szukała wyrazów, któremi powitać go miała... Wyobrażała sobie zdumienie, rozpromienienie, upadnięcie do nóg, załamane jego ręce... piękne oczy czarne zwrócone ku niej i... po chwili niepewności, przebaczenie, którem go po dobrej nauce moralnej obdarzyć miała.

Abyśmy następną scenę zrozumieć mogli, potrzebujemy wspomnieć o postaci, która w domu Anny najmniej była widoczna, w życiu jej bardzo podrzędną grała rolę, a przecież zwała się mężem i panem... Mąż i pan ów był w całym znaczeniu wyrazu człowiekiem swojego czasu, typem wszystkich jego wad i słabości.

Zwał się on kasztelanem, ale trudno w nim było poznać potomka hetmanów i wysokiego dostojnika Korony, tak z cudzoziemska wyglądał. Od młodu wychowany na sa

skim dworze, pół-cudzoziemiec, nauczył się po polsku dopiero w późniejszym wieku i mówił wcale niepoprawnie, sztukując nieustannie wyrazami, których w rodowitym języku mu brakło, branemi z niemieckiego lub francuskiego. Europa, która młode jego wykołysała lata, napoiła go największą wzdumą dla domowego żywota, obyczajów, języka i stroju. W kraju mu się wszystko wydawało szkaradnem, śmiesznem, barbarzyńskiem; prawil nieustannie o postępie, o oświecie, ale zarazem dla uspokojenia sumienia uznawał, że on był, *dans les circonstances présentes*, zupełnie niepodobnym. Nim więc miała się rozpocząć praca około zupełnego przerobienia społeczeństwa na kopyto zagraniczne, kasztelan znajdował najwłaściwszem nic nie robić i bawić się.

Ożeniwszy się z Anną, równie dla jej piękności, jak dla znacznego posagu, zaraz w intercyzie przewidział możliwość rozvodu, ale unikając go (gdyż byłby mu zaszkodził wielce w kredycie i interesach), żył z żoną wedle ówczesnej najświeższej mody. Małżeństwo w prawdzie zamieszkiwało pod jednym dachem, ale miało dwa własne gospodarstwa, zupełnie oddzielne: pani swój dwór, pan swych przyjaciół, swe zajęcia... Często bardzo nie widywali się całemi tygodniami; spotykając się w gościnie, przemawiali kilka słów i rozbiegali się w różne strony, nie pytając wcale co robili. Oboje zostawili sobie zupełną swobodę... Pan miał konie, ekwipaż, apartamenta osobne; pani swe kółko, kuchnię, usługę, konie, pokoje, do których mąż się wcale nie mieszał. Oboje tylko spotykali się z rachunkami u Teppera i Kabrita, a w razach zawikłań pieniężnych, odbywali konferencyę krótką, która się kończyła wdzięcznymi uśmiechem i pocałowaniem ręki... Czas gorącej namiętności przeszedł bezpowrotnie, została przyjaźń chłodna; a że pożycie to nie skomplikowało się potomstwem, nie było dziś innego węzła między nimi nad wspólne interesa i względność wzajemną. Kasztelan w towarzystwie był człowiekiem bardzo miłym, wykształconym, nawet rozsądnym, gdy o cudze chodziło sprawy; do swoich nie używał wcale tego chłodnego narzędzia i był posłusznym niewolnikiem chwilowych namiętności. W gruncie przeżyty i wystygły, obojętny na wszystko, prócz

siebie, przez kalkulację tylko nie popełniał ani nieprzyzwoitości, ani zazdrości wielkich, które zawsze życie mąca; znajdował, że najlepszą rachubą było okazywać się o ile możliwości uczciwym i łagodnym człowiekiem. Lubiano go powszechnie, ale wiedzano, że na niego rachować nie można, i nie używał też wcale wziętości. W towarzystwach nieznaczącą grał rolę. Życie jego zresztą upływało, po za widocznymi szrankami urzędowej jego egzystencji, przy jakiejś Włoszce śpiewaczce, przy przyjaciółce wojewodzinie, dla której miał przywiązanie niewytlómaczone i niezrozumiałe dla nikogo, jakąś potrzebę serca, głównie przy stołach gry, gdyż kasztelan namiętnym był graczem. Ta passya pochłaniała czas, pieniądze, spokój, zdrowie, wszystko... i wprędce nawet na zdziennienie umysłu wpłynęła. Całe noce grano u niego, lub on grał u drugich, a częstokroć w grze wynosiła tysiąc dukatów. Kasztelan nie był nieszczęśliwym graczem, ale zdarzało mu się przegrywać wszystko, aż do solitera, który nosił w żabocie i tarantowego cugu, którym jeździł.

Takim był ów mąż Anny, którego ona zwała zwykle najlepszym swym przyjacielem, ale z nim widywała się jak najmniej i jak najkrócej. Zresztą żyli z sobą w najczulszych stosunkach wygasłej miłości, zastąpionej wspomnieniami..

Kasztelan był tego wieczoru u Ponińskiego na faroanie i zabierał się grubo stawiać, gdy tajemniczym bilecikiem znać mu dano, że go ktoś nieznajomy oczekuje na drugim końcu miasta. Wcale to było mu nie na rękę, ale bilecik zakrawał na awanturkę kobiecą, a kasztelan łakomy był na tego rodzaju coraz nowe przygody. Posadziwszy na swem miejscu stryjecznego brata, siadł do karety i poleciał do furtki, którą mu nieznajomy człowiek, oddawca listu, miał wskazać...

Napróżno go rozpytywał, posłaniec milczał jak mur.. Galopem jechali w aleje...

— Ani chybi, pewie się komuś zamarzyło ostrzedz mnie o jakiejś niewierności mojej Maryety, jak gdybym ja się tego nie domyślał i nie przeczuwał... O! co to za

śmieszni ludzie!... Albo może Rozyna mnie wabi; bo ostatnim razem w teatrze rzuciła na mnie wzrokiem pełnym obietnic najśłodszych...

Kasztelan w tych domysłach dojechał do furtki i wszedł do ogródka, przez który go przeprowadzono. Gałęzie drzew pomiały mu nieco fryzurę i podrapały suknie; wilgoć dała się czuć przez delikatne trzewiki i z ciekawością gorącą wszedł do pokoiku...

Jedna świeca woskowa mdle po nim rozlewała światło. W kątku odsunięta nieco ode drzwi, w białej sukni ukazywała się siedząca postać kobieca... nikogo więcej.

Była to, jak się łatwo domyślić można piękna Anna, która w przychodzącym spodziewała się ujrzeć księcia Józefa. Serce jej biło mocno; chciała co najrychlej zwrócić głowę i wahała się jeszcze... Kasztelan wchodził na palcach, oglądając się.

— Sama! a więc *rendez vous*... Ale to nie Rozyna: Któż to być może?

I zbliżał się na palcach...

— Prześliczna figura!... co za rączki!

Piękna Anna obejrzała się w tej chwili i kasztelan zdrętwiał ze zdziwienia, postrzegłszy własną żonę... Przestrach i zdumienie Anny niemniejsze było, ale w tejże chwili zrezygnowana kobieta zmierzyła myślą swe położenie, przeczuła krwawego figla, jakiego jej wyrządzono i postanowiła wyjść z niego zwycięzko. Twarz jej na chwilę tylko uległa wrażeniu trwogi i niepewności: siłą woli wywołała na nią zaraz uśmiech, który rozległ się wesołą i doskonale odegraną radością...

— A kasztelanie! zawołała, jużś też tak o mnie zapominał, żem musiała aż do figla się uciec, aby cię tu zwaabić... i choć chwilę sam na sam z tobą przepędzić... Nie prawdaż? doskonała sztuka!

Kasztelan jeszcze nie mógł przyjść do siebie; twarz jego z trudnością rozjaśniała się; pocałował w rękę żonę, która drżała jak on i usiadł przy niej ocierając pot z czoła..

— Ah! *c'est parfait!* zawołał z przymuszonym grymasem.

— 55 —

— O, pomśczone się! pomśczone! cicho szepnęła Anna....!
Cała Warszawa nazajutrz podawała sobie na ucho za-
bawną historję tej niespodzianki.

Równie wielkiego doznał zdziwienia staroście, gdy
w urządzonym wykwiłtnie domku zamiast Juli zastał starą
guwernantkę swej siostry, naiwnie przyjmującą cały ten za-
chód na swój rachunek, jako dowód wdzięczności rodziny!
Z początku stał chwilę gryząc sobie usta, blizkim był wy-
buchu, ale zmiarkował, że w takich razach lepiej jest i ro-
zumniej pogodzić się z losem i z uśmiechem przyjąć jego
igraszkę...

— Jest to zdrada, której nie daruję nigdy! Jutro całe
miasto szydzić będzie ze mnie... Stanę się pośmiewiskiem...
to szkaradnie... to ohydnie...

Rozpłakana Francuzka, błogosławiąc go i okrywając
epitetami najwyszukańszemi, pełna wdzięczności, której tak
niespodziany odebrała dowód, wstrzymała starościca, przy-
jmując go jakby u siebie i nie dając mu się wyrwać czu-
łym oświadczeniom, na które czuł, że wcale nie zasługi-
wał...

Nareszcie napiwszy się herbaty, zamyślony, kwaśny, ale
znacznie ostygły. Zabielski powrócił do warszawy. Kazał pa-
kować natychmiast i o świcie wyruszył do Paryża, nie po-
kazując się już nigdzie...

O Julii i o księciu wszyscy jakoś mówić przestali...

Nazajutrz, jak zwykle, książę pokazał się w swym ekwi-
pażu w alejach, wesoły, spokojny, piękny jak Apollo. Oddał
wizytę Annie, której w domu nie zastał; był u Dziubatej,
która go przyjęła, mówiąc z nim o polityce, o wojnie,
o przyszłym sejmie i pożegnała ceremonialnie; odwiedził na
ostatku kasztelana winszując mu zbliżenia się do żony, co
ten przyjął dosyć ozięble...

Wieczorem widziano go na reducie

W rok potem... książę Józef zniknął na dni kilka z Warszawy i powrócił blady, smutny, cierpiący... Domyślano się jakichś cierpień serdecznych, ale najgłębsza tajemnica okrywała jego czynności...

Na Powązkowskim cmentarzu spostrzeżono go wkrótce potem, przy poświęceniu grobowca skromnego, który nie wiadomo czyje pokrywał zwłoki. Składał się on ze złamanej kolumny, owitej bluszczem; na tablicy u spodu stało jedno imię tylko:

JULIA.

Zmarła dnia... roku 178...

Znajdziemy się za światem!

KONIEC.



**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 314667



000-314667-00-0